

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 10 czerwca 1911. | Nr. 23.

Napad bandytów na cyganów.

(Treść na str. 2).



Napad bandytów na cyganów.

(Do illustracyi tytułowej)

Bandyci w Królestwie, ta straszliwa plaga całej dzielnicy, nie przebierają w środkach, jeśli chodzi o zdobycie grosza lub kosztowności. Gotowi są w takim razie rzucić się na każdego człowieka, który im się nawinie, bogaty czy biedny, młody czy stary, byle była nadzieja, że napad się opłaci, że przyniesie jakąś materyalną korzyść.



Nowy biskup polowy: Ks. Emeryk Bjelik.

Dowodem tego wypadek, który wydarzył się w ubiegłym tygodniu w okolicy Radomska. Oto w lesie rendzińskim rozłożyła się obozem banda cyganów, chcąc odpocząć przed dalszą drogą. Nagle obóz cygański otoczyła zgraja uzbrojonych w browningi bandytów, przeważnie młodych ludzi, którzy zażądali wydania wszystkich pieniędzy i biżuteryi.

Cyganie i cyganki, przerażeni niespodziewanym napadem, rzucili się na klęczki, błagając bandytów o litość i ofiarowując im dobrowolnie całe mienie, byle tylko darowali im życie. Bandyci jednak byli niewzruszeni. Mimo pokornej postawy cyganów doprowadzili do bójki krwawej, w czasie której jeden z cyganów został zamordowany, a jeden ciężko poraniony. Równocześnie kilku bandytów plądrowało tabor cyganów, skąd zabrali 1300 rubli w gotówce, nadto wiele kosztowności.

Uporawszy się w ten sposób z mieniem cygańskiem, bandyci zbiegli w stronę Włoszczowy i Podburza.

Rycina tytułowa przedstawia chwilę napadu bandytów na obóz cygański.

Nowy biskup polowy.

Armia austryacko-węgierska otrzymała nowego zwierzchnika duchownego; po ustąpieniu ks. dr. Kolomana Belopotocsky'ego został jego następcą na stanowisku biskupa polowego dotychczasowy dyrektor polnego konsystorza, prałat ks. Emeryk Bjelik.

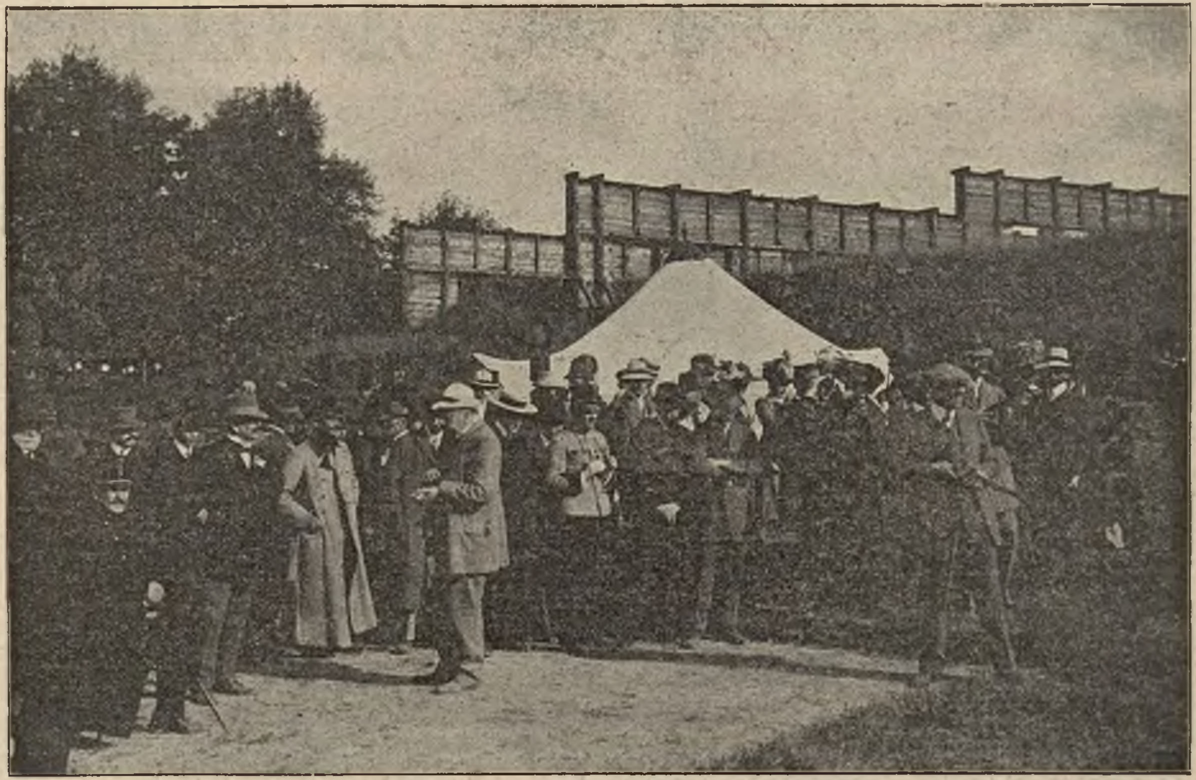
Nowy biskup polowy urodził się i wychował na Węgrzech, pochodzi zaś z rodziny słowackiej. W dotychczasowej karyerze swej przeszedł wszystkie stopnie duchownego wojskowego i zaznajomił się dokładnie z życiem żołnierskiem, bo pracował wśród żołnierzy na rozmaitych stanowiskach, w kościele, szpitalu, kasarni, ponadto biorąc udział w podróżach inspekcyjnych dotychczasowego szefa, odwiedził z nim niemal wszystkie garnizony monarchii.

Ks. Bjelik, urodzony 1860 r. w Ilawie w Trenczyńskim komitacie, ukończył seminaryum duchowne w Neutra, poczem aktywował się jako kapelan wojskowy i przydzielony został naprzód do Bośni, potem do Preszburga, a awansując kolejno został 1894 r. sekretarzem konsystorza a 1903 r. jego dyrektorem.

Jest to kapłan wielkiej wiedzy i wykształcenia, włada bardzo wielu językami, tak że z każdym niemal żołnierzem może się porozumieć w jego ojczystym języku. Próbował też sił swych na polu literacko naukowem i szereg jego prac wyszedł już w druku.

W kołach zarówno duchowieństwa jak wojskowości cieszy się ks. Bjelik niekłamaną sympatyą.

Z powodu nominacyi na biskupa polowego, zamieszczamy dziś portret ks. Emeryka Bjelika.



Popis w strzelaniu: Fragment z popisowego strzelania na Kortumówce we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Następca ofiary katastrofy awiatycznej.

Pamiętny jest żywo do tej chwili tragiczny zgon francuskiego ministra wojny Berteaux'a, który został zabity w czasie strasznej katastrofy aeroplanu Train'a na polach wzlotów w Issy-les-Moulineaux pod Paryżem. Ponieważ równocześnie ciężkie rany odniósł i premier francuskiego gabinetu, zdawało się, że będzie musiało przyjść do przesilenia ministeryalnego i rekonstrukcyi gabinetu. Tymczasem rany premiera Monis'a nie okazały się zbyt groźnemi, wskutek czego niebezpieczeństwo przesilenia usunięto a tylko powołano nową osobistość na stanowisko ministra wojny w miejsce zabitego Berteaux'a.

Następcą tym został jeden z najwybitniejszych generałów francuskich Goiran. Był on obecnie generałem dywizyi i komendantem VI korpusu w Châlons-sur-Marne.

Generał Goiran rozpoczął swą służbę po ukończeniu wojskowej akademii jako oficer artyleryi. W tym charakterze wziął on udział w wojnie z Prusami i pod Sedanem dostał się do niewoli. Następnie, kiedy zawarto pokój i kiedy powrócił do Francyi, wysłany został z ekspedycyą wojskową do Tunisu, gdzie założył wielkie warsztaty artylerzyckie i przyczynił się bardzo wydatnie do zorganizowania tam-



Zjazd urzędników skarbowych: Uczestnicy zjazdu. (Fot. M. Münz, Lwów).

tejszej załogi w celu obrony tej kolonii francuskiej. W czasie wieloletniego swego pobytu w Afryce zaznajomił się bardzo dokładnie i szczegółowo ze stosunkami tam panującymi, ten wzgląd też przeważył obecnie na jego korzyść przy wyborze nowego ministra wojny, Francya bowiem zajęta jest obecnie ekspedycyą do Marokka a zatem minister wojny powinien znać stosunki i teren, na którym armia jego ma operować.



Popis w strzelaniu: Grono członków wydziału gal. tow. łowieckiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wogóle generał Goiran ma opinię oficera wysoce uzdolnionego a wielkie manewry przed dwoma laty dały mu sposobność zaszczytnego odznaczenia się. Wiadomość więc o powołaniu Goiran'a na ministra wojny przyjęto w całej Francyi z ogólnem zadowoleniem i uznaniem.

Paryż-Nicea-Rzym.

Olbrzymie przedsięwzięcie awiatyczne, lot dystansowy Paryż-Nicea-Rzym-Turyn jeszcze się nie skończył. Ale większą część jego już odbyto i dotychczasowy wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Nie jest to konkurs szybkości, jakim był lot z Paryża do Madrytu. Nagrody, obiecane zwycięscom przez dziennik „Le Petit Journal", przez komitety wystaw w Rzymie i Turynie, oraz przez lorda Northcliffa, właściciela londyńskiej „Daily Mail", rozdzielić miano między pięciu awiatorów, którzy w najkrótszym czasie przebędą poszczególne etapy drogi. Etapy główne naznaczono trzy — Niceę, Rzym i Turyn, a za przebycie każdego otrzymać mieli lotnicy osobne nagrody. W każdym z tych etapów były jeszcze obowiązkowe stacye. Pozatem pozwolono uczestnikom zatrzymywać się wedle własnego uznania, gdzie tylko zajdzie potrzeba. Ażeby uniknąć wypadków, pochodzących ze zbytniego pospiechu i zapewnić żeglarzom powietrznym odpowiedni czas do spoczynku, postanowiono, że wyścig, rozpoczęty 28 maja, trwać ma aż do 15 czerwca, atoli z Rzymu nie wolno wyruszać wcześniej niż 10 tego miesiąca, Suma nagród przenosi pół miliona franków.

Miejscem startu nie było tym razem smutnej sławy Issy-les Moulineaux, lecz Buc pod Wersalem, gdzie znajduje się aerodrom Maurycego Farmana. Wstęp

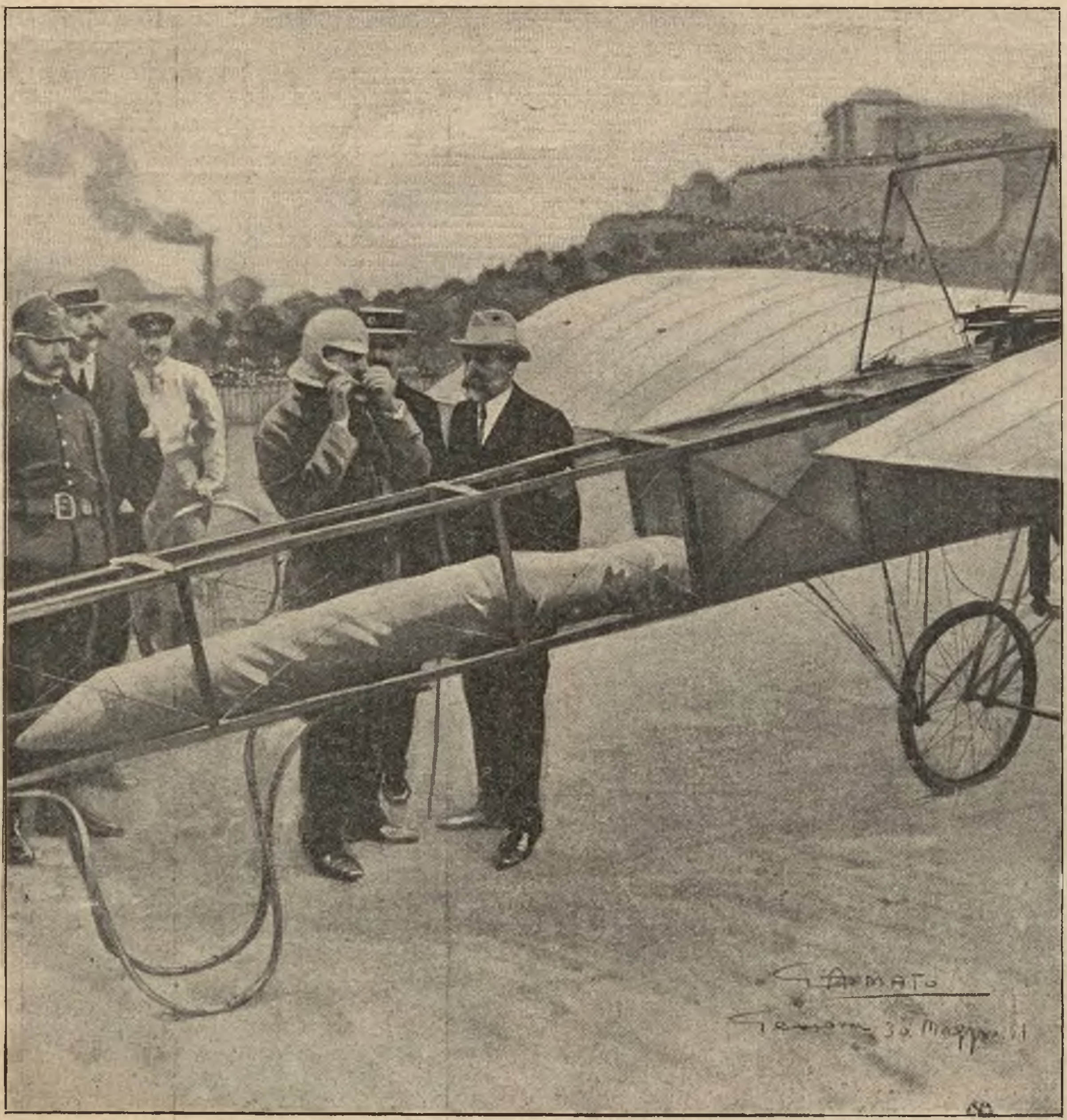


Następca ofiary katastrofy awiatycznej: Generał Goiran, nowy minister wojny we Francyi.

do tego aerodromu mieli tylko lotnicy, dziennikarze i kilka wysoko położonych osób, między nimi następca ministra wojny Berteaux, Goiran, oraz syn prezydenta gabinetu, Monis. Tłumy publiczności, które przybyły z Paryża i przeważnie nocowały pod gołem niebem, nauczone smutnem doświadczeniem,



Walka z alkoholizmem: Grupa uczestników zjazdu „Eleuteryi" we Lwowie, z ks. dr. Ciemniewskim w pośrodku. (Fot. M. Münz Lwów).



Paryż-Nicea-Rzym: Lotnik Garros po wylądowaniu w Genewie 30 maja.

zachowywały się wzorowo i nie usiłowały dostać się na miejsce wzlotów, otoczone silnym kordonem wojska.

Do konkursu stanęło 21 lotników, więc zdobywca nagrody za lot z Paryża do Madrytu, Védrines, Garros, który był w tym locie jego najgroźniejszym współzawodnikiem, Weymann, Vidart, porucznik marynarki Commeau, który przybrał pseudonim Beaumont, i wielu innych. Start odbył się w porządku wzorowym i ani razu nie okazała się potrzeba interwencyi wojska. Minister Goiran wyraził organizatorom konkursu najgorętsze uznanie.

Wypadków zaraz z początku lotu było kilka, ale żaden z nich nie miał tragicznego przebiegu, kończyło się na lekkiem uszkodzeniu aparatów, po których naprawieniu awiatorzy natychmiast wyruszali w dalszą drogę. Na czoło wysunęli się wkrótce Garros i Beaumont. Ten ostatni przybył 29 pod wieczór do Nicei i przenocowawszy, o świcie podążył dalej. Nie o wiele później wylądował w Nicei i Garros, który nie zdołał w dalszej drodze wyprzedzić współzawodnika.

Beaumont napotkał na poważne trudności, kilkakrotnie przelatywał pośród chmur gradowych, a wylądował w Rzymie wśród burzy i piorunów. Mimo to oczekiwały go tłumy ludu. Uwiadomiony o ukazaniu się Beaumont'a papież, wyszedł na balkon i obserwował go, okrążającego kopułę bazyliki św. Piotra. Na polu wzlotów oczekiwali: minister spraw wewnętrznych, markiz San Giuliano, burmistrz Rzymu Nathan, Goiran, brat obecnego francuskiego ministra wojny, znany z jazdy automobilem z Pekinu do Paryża ks. Borghese i wiele innych wybitnych osobistości. Beaumont wylądował w stanie zupełnego wyczerpania i zaledwie mógł utrzymać się na nogach. Podano mu kieliszek szampana, ale Beaumont nie zdołał utrzymać go w rękach, wyrzucił go więc w powietrze, wołając: „Vive l'Italie!“ Przyszedłszy nieco do siebie, wręczył burmistrzowi depeszę od mera paryskiego, zawierającą słowa: „Miasto Paryż składa drogą powietrzną miastu Rzymowi życzenia z powodu jubileuszu“. Podobną depeszę miał przy sobie każdy z uczestników lotu — Beaumontowi pierwszemu przypadł zaszczyt jej oddania w ręce adresata.

Beaumont przeleciał tedy w czterech dniach 1465 km., nie doznając żadnego wypadku. Jest to rekord przestrzeni; przeciętna szybkość wynosiła około 100 km. na godzinę.

Drugi przybył do Rzymu lotnik Garros.

Nowy dyrektor poczty w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 7).

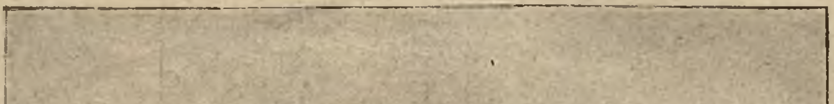
Wskutek powołania radcy dworu Bilińskiego na stanowisko szefa inspektoratu pocztowego krakowskiego, opróżniona została posada dyrektora urzędu pocztowego w Krakowie. Obecnie mianowano dyrektorem p. Stanisława Hickiewicza, dotychczasowego dyrektora urzędu pocztowego we Lwowie.

Nowy dyrektor wstąpił do służby pocztowej 1883 r. po ukończeniu szkoły średniej. Jako asystent został przydzielony do urzędu pocztowego I. w Krakowie, gdzie był prawą ręką ówczesnego dyrektora, radcy rządu Dawidowskiego a następnie obecnego radcy dworu Bilińskiego. Urzędnik bardzo zdolny i niezwykle pracowity, zyskał od razu zaufanie przełożonych, a szczerą sympatyę kolegów. W krótkim też stosunkowo czasie mianowany został starszym kontrolorem i szefem biura prezydyalnego.

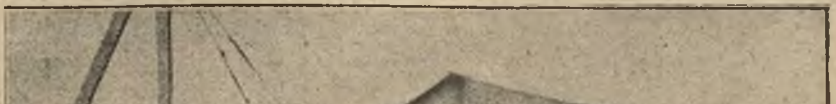
Następnie powołany został na stanowisko nadzarządcy poczty i telegrafu w Bochni, gdzie znów miał sposobność odznaczenia się i zyskania ogólnego uznania, doprowadziwszy urząd tamtejszy do wzorowego porządku. Z Bochni przeniesiony został p. Hickiewicz do Lwowa, gdzie objął odpowiedzialne stanowisko dyrektora urzędu pocztowego I., ale już w kilka miesięcy potem, został przeniesiony napowrót do Krakowa, w charakterze dyrektora tutejszego urzędu.

Urzędnicy krakowscy przyjęli przeniesienie dyr. Hickiewicza z ogólnem zadowoleniem, gdyż z czasów pobytu w Krakowie została po nim pamięć jak najlepszego przełożonego i serdecznego kolegi, człowieka ze wszech miar prawego i zacnego.

Z okazyi przeniesienia dyr. Hickiewicza do Krakowa, zamieszczamy dziś jego portret.



Paryż-Nicea-Rzym: Awiator Garros, który jako drugi przybył do Rzymu.



Paryż-Nicea-Rzym: Awiator Beaumont, dotychczasowy zwycięzca w konkursie dystansowym (właściwe nazwisko Conneau).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

4)

A ona wdzięczyła się do Siergieja Bolesławicza i niekiedy palące wejrzenie zwracała ku smutnemu, zniechęconemu wszystkiem młodzieńcowi; wypowiadała śmiało swoje teorye o stanowisku kobiety nowoczesnej, o małżeństwie, o burżujstwie itp., czem wprawiała w zachwyt Siergieja Bolesławicza, ale na Stanisławie, o którego jej głównie chodziło i którego wyłącznie miała na myśli, pragnęła podrażnić i wywołać z nim spór, nie robiło to żadnego wrażenia. Siedział chmurny, zamyślony, obojętny na wszystko, zapatrzony gdzieś w dal, błądzący duszą Bóg wie jak daleko, może nawet nie słyszący tego, o czem Anielka mówiła.

Drażniło ją nadzwyczajnie. Już wczoraj wyprowadził ją z cierpliwości, gdy wygłaszane przez nią zdania przyjmował z drwiącym uśmiechem i bynajmniej nie myślał się z nią sprzeczać, ale poprostu z lekceważeniem traktował jej teorye, jako niegodne poważnej dyskusyi. To wprawiało ją w gniew. Ona chciałaby tego smutnego młodzieńca przekonać, ożywić, pchnąć w wir walki, a on oto siedzi milczący, zapatrzony w siebie, obojętny, pozwalający na to, by taki dureń i głupiec, jak koleżski asesor, wygłaszał swoje zachwyty i bił oklaski „pięknej damie". Jej przecież nie idzie o to, by Siergiej Bolesławicz nią się zachwycał, i jeżeli chciała być dla kogo piękną, to z pewnością nie dla niego, ale dla kogoś innego, a dla kogo, to już jej tajemnica.

Gdy jednak najryzykowniejsze teorye, wygłaszane przez nią, nie potrafiły poruszyć Stanisława i wywołać w nim choćby najlżejszego oporu, wstała z błyszczącemi od gniewu oczyma i, patrząc z pogardą na swego kuzyna z lewej ręki, rzekła:

— Czy pan się dziś nie wyspał?

— W rzeczy samej nie wyspałem się.

— To idźże pan spać, bo lękam się, byś tu przy stole nie zasnął.

To rzekłszy, z wdziękiem podniosła sukienki i nie kiwnąwszy nawet głową koleżskiemu asesorowi, wyszła z minką radosną. Siergiej patrzał za nią i po chwili rzekł:

— Ot sierdita dama!

I powstał, przeciągając się leniwie i zaproponował Stanisławowi, by się przeszli po ogrodzie, na co ten dość niechętnie się zgodził. Szli tedy główną aleją. — Siergiej ciągle gadał niestworzone rzeczy o swoim pobycie w Pitrze, jak Petersburg nazywał, a Stanisław słuchał, nie słuchając, i wcale się nie odzywał.

— Ja wam, pan, ot co powiem. Mnie bardzo podoba się madmazel Aniela, chociaż mnie z kobietami nie szczęści się. Na dniach w Pitrze Konon Iwanowicz mówił, że będzie mnie swatać. On dokazuje, że ja powinien się żenić w co by nie stało. Znalazł jakąś pannę, której nieprzemiennie jeszcze tego miesiąca potrzeba wyjść za mąż. Już Konon Iwanowicz przedłożył to jej ojcu, a on odpowiedział: „nu cóż, niechaj przychodzi, zobaczym".

Ja sam nie precz od tego probować, tak probować! Kanon Iwanowicz mówi, że to dom arystokratyczny, pierwszy sort, a nawet nie po naszych nogach. Ale ot, szczęście, że ich tak przyparło. Przytem co, że oni bogaci, to i dobrze, my i sami z wąsami. Ojciec jej w wysokim czynie, tajny czy co, on, że i nieprzemienny członek tiuremnego komitetu. Bardzo obrazowany i uczony człowiek. Nawet przepaść pieczętował swoich wydań, najwięcej to przeprowadza z francuskiego. Ja nawet widział jedno jego wydanie, bardzo pięknie przeplecione, całe wyzłacane, a na spince jego własny węzeł odciśnięty. Jak napotyka się z jenerałami, to nawet kapelusza nie zdejmuje, a tylko rękę im przeciąga. A co oni jemu znaczą? On i przed ministrem w wąsy sobie nie dmucha. Rozjeżdża sobie lichemi końmi w kolasce po mostowej i dzieło z końcem. Za córką ma dać 60.000 rubli czystoganem. Ot co...

W tejże chwili doszli do końca ogrodu, gdzie w murze była furtka, prowadząca na gościniec, i w tej furtce okazał się jakiś nieznajomy. Był to młody człowiek z lekkim zarostem na brodzie, blady, z dwoma dużemi pałającemi oczyma, z włosem długim, wydobywającym się z pod miękkiego bandyckiego kapelusza, mocno naciśniętego na oczy. Ubrany był niedbale, zakurzony mocno, a pod szeroką peleryną narzuconą na plecy, dźwigał jakieś zawiniątko. W ręku trzymał grubą pałkę, widocznie świeżo wyciętą w lesie.

Wszedł do ogrodu, lekko skinął głową i głosem miękkim z akcentem śpiewnym zapytał:

— Przepraszam, czy ta wieś nazywa się Góra?

— Tak! odrzekł Stanisław.

— Czy tutaj jest dwór?

— Tak, a co pan sobie życzy?

— Jaby chciał zobaczyć się z panem Kozłowskim.

— Ja jestem Kozłowski.

— Tak! no to ja się sam przedstawię. Jestem Antoni Wiśniewski ze Lwowa. Moja matka była Kozłowska, Antonina Kozłowska. Mnie doszła wiadomość, że na moją matkę, po jej bracie własnym Teodorze Kozłowskim, spadła sukcesya. Więcem tu przyjechał, jako jedyny syn mej matki.

Stanisław wyciągnął do niego rękę:

— Bardzo mi przyjemnie poznać kuzyna. Nie wiedziałem, że ciotka Antonina miała syna...

— A miała... mnie. Mam wszystkie dokumenty poświadczone urzędownie przez cesarsko królewską ambasadę w Wiedniu.

Mówiąc to, uśmiechał się smutno, patrzył na Stanisława i na Siergieja Bolesławicza i pytał:

— To pan jest moim kuzynem? wolno zapytać jakie nas łączy powinowactwo?

— Bardzo blizkie, mój ojciec Andrzej Kozłowski był bratem rodzonym ciotki Antosi... jesteśmy więc bracia cioteczni.

— Ano tak... bardzo mi miło poznać braciszka.

Siergiej Bolesławicz słuchał tego wszystkiego, marszczył brwi gniewnie, gładził niespokojnie faworyty i mruczał pod nosem:

— Czort bierz... taż tych krewnych moc!...

A tymczasem Wiśniewski ciągle swym śpiewnym i miękkim głosem mówił:

— Cały dzień wczorajszy i całą noc jechałem, a ze stacyi piechotą przyszedłem.

— Czemuż kuzyn nie spytał na stacyi o konie z Gór? Codzień je wysyłam po krewnych.

Taj zabrałby to mnie furman? tu widzę wszystko po pańsku, a ja co? Ja ubogi słuchacz uniwersytetu, gdzie mnie siadać do powozów pańskich! Moja chłopska burka nie pasowałaby z aksamitami pańskimi.

— Kochany bracie — odrzekł na to Stanisław — tu wszystko jest także w części twoje... Wszak wszystko należy do spadku.

— Tak? ano to i dobrze. Ale zmęczony jestem bardzo i głodny. Nie możnaby gdzie spocząć trochę i czem się pokrzepić? Od stacyi droga ciężka, pięć kilometrów, jakem obliczył i błoto po kostki. Patrz pan, jakem się ubłocił.

Wysunął naprzód jedną nogę w bucie ordynaryjnym i zupełnie wykrzywionym, na który spadały obszarpane i w rzeczy samej mocno zabłocone spodnie, i z boku spoglądał na Siergieja Bolesławicza. Ten mruczał ciągle, wreszcie zawołał:

— Mam honor rekomendować się: Siergiej Bolesławicz Kozłowski, koleżski asesor iz Pieterburga.

— Bardzo mi przyjemnie. Czy pan także kuzyn?

— Ta jakże kuzyn. Moja familia Kozłowski, Siergiej Bolesławicz. Ja tu przyjechał z Pitra... nu, po sukcesyu...

— Hm! to widzę bardzo liczna była nasza rodzina. Nieboszczka matka mówiła mi, zdaje się, o czterech braciach i już nie wiem o ilu siostrach. Więc pan jest synem jednego z tych braci? a zatem także moim ciotecznym?

— Da jakże... ciotecznym.

Wtrącił się w tę rozmowę Stanisław:

— Właściwie pan jest synem Bolesława, a żaden z naszych stryjów nie nosił tego imienia. Ale co my tu gadamy. Proszę kuzyna do domu. Zaraz poproszę, żeby ci jeść dali. Pokój kuzyn będzie miał osobny i może sobie wypocząć. Proszę za mną!

Ruszyli ku domowi, Stanisław przodem, za nim koleżski asesor i Wiśniewski. Siergiej oburzył się na uwagę Stanisława, że żaden z braci zmarłego Teodora Kozłowskiego nie miał imienia Bolesław i gadał:

— Da ty pan Stanisław nie mów. Ja że Kozłowski, a skoro wy pan anonsem w Senackich Wiedomościach wezwali wszystkich Kozłowskich, nu to ja i przyjechał. U mnie są dokumenta, posłużny spisek, czegóż więcej?

Stanisław nic na to nie odpowiedział, tylko szedł przodem, więc Siergiej zwrócił się do Wiśniewskiego:

— Wy pan z Lemberga?

— Z Lemberga? po polsku to nazywa się Lwów.

— Da... to wszystko równo... w „Nowoje Wremia" zawsze pieczętują Lemberg. Jaże do tego przywyczaił się. Tak! tak! to niemiecka nazwa — Lwow to Lwow, to po słowiańsku. Aj pan... ty nie wiesz, jaka to zapóźniona nacya te Polaki z Prywiślinja. U nich niema nijakiej progresywnej idei. Same pany i ksiendzy, a chłop to u nich psiakrew. Ja ich znam. Ja czytał Michała Nikiforowicza Katkowa. No, mnie było bardzo smutno jak ja go czytał. Przecież i ja Polak, nu, i dobry Polak. Tu pan trzeba żywej wody, progresu, trzeba żeby się rodaki moje pozbyły marzeń. *Point des reveries.* Ha! ha! ha! Co? a?

Wiśniewski słuchał tych słów, a na jego twarzy malowało się zdziwienie, spoglądał z boku na kościstą postać koleżskiego asesora i coraz bardziej odsuwał się od niego i nic nie mówił, ale pałką czegoś zawzięcie machał i ścinał zielska po drodze.

Na szczęście przybyli już do werandy i Stanisław, poprosiwszy gościa, żeby usiadł, pobiegł do wnętrza. Wiśniewski obejrzał się dokoła, złożył w kącie swoje zawiniątko, — kij, swą pelerynę i bandycki kapelusz i bujne długie włosy, spadające mu na czoło, odgarnął ręką. Usiadł, wzdychając głośno, wyciągnął nogi i szepnął:

— Zmęczyłem się!

Niebawem służący przyniósł przekąski i wódkę i patrzył nieco zdziwiony na nędznie ubraną, zakurzoną postać nowo przybyłego, który w tem pańskiem otoczeniu wyglądał nieco dziwacznie. Siergiej Bolesławicz, jakkolwiek był już po śniadaniu, zabrał się do wódki, nalał sobie kielich potężny i podnosząc go, zawołał:

— Nu, wnoszę toast za progres Prywislinja! Ja tu, pan, przywiózł cały czemodan nowych idei. Wy, pan, ze zgniłego zachodu, zapadnik, wy, pogadawszy ze mną, uwidzicie, co to są źródła żywej wody.

Wypił duszkiem żywą wodę, obtarł bokobrody i zabrał się do jedzenia, powtarzając ciągle kieliszki. Wiśniewski jadł, patrzał na niego, ale nic nie mówił. Dla niego świat to był nowy i zgoła nieznany.

— Pan przywiózł nowe idee z Petersburga? — pytał z pewnym ironicznie dobrotliwym uśmiechem

— Da, z Pitra, wy, pan, nie znacie, co tam jest czysty kipiatok idei...

— Co? co to jest kipiatok?

Tymczasem wszedł Stanisław i żywo zajął się swoim nieznanym kuzynem, przerywając koleżskiemu asesorowi wykład, co to jest „kipiatok" i jakie idee przywiózł z Petersburga. Niebawem zjawiła się i panna Aniela, zaciekawiona przybyciem nowego spadkobiercy i z pod oka przypatrywała mu się ciekawie i zaraz też wdała się z nim w rozmowę tak interesującą, że tylko oboje mówili, zapominając zupełnie o obecności Siergieja Bolesławicza i Stanisława. Siergiej zrazu wtrącał się w ich rozmowę, ale widząc, że słów jego nie podnoszą, na pytania nie odpowiadają, zamilkł z rozpaczy, wypił wszystką „oczyszczoną" i siedział chmurny, nadąsany, paląc „papiroski", jak mówił.

Stanisław też nie odzywał się, zapominając o całem otoczeniu, pogrążony w swe melancholijne marzenia. I byłby tak siedział zapewne długo, gdyby nie pojawienie się Orczykiewicza, który spowodował ocknięcie się przyszłego dziedzica Gór. Zeszedł z werandy do owczarza, pytając czego chce, na co ten odrzekł:

— A cóż, panie, będzie z tą wierzbą?

VI.

— Świat, proszę pani, jest źle urządzony, trzeba go konieczne lepiej, a nadewszystko mądrzej i sprawiedliwiej uorganizować.

Tak mówił młody Lwowianin, Antoni Wiśniewski, do panny Anieli, przechadzając się z nią po alei, wysadzanej staremi lipami w ogrodzie dworskim. Szedł z głową spuszczoną, z oczami wlepionemi w ziemię, z włosami spadającemi mu na ramiona, z twarzą poety lub męczennika, opierając się na swej sękatej lasce, cały skupiony w sobie, pochłonięty zupełnie i jedynie myślą o reformie tego źle urządzonego świata. A przecież obok niego szła dziewczyna ładna, dysząca życiem i pragnąca skorzystać z tego życia, zdająca się mówić: Urządzajcie świat jak chcecie, ja jestem miłość i mnie z tronu istnienia nigdy nie zwalicie! ja wszystko pokonam, ja wszystko przeżyję, świat wasz może runąć, ale ja żyć będę, bom jest nieśmiertelna!

Posuwała się wolno koło niego w swej jasnej perkalowej sukience, zbudowana jak Wenus, z głową wzniesioną w górę, lekka, zgrabna, pełna wdzięku niewieściego, tworząc dziwny kontrast swą dumną i wyzywającą postawą ze zgarbioną mizerną, chudą figurą Wiśniewskiego.

Słuchała z zajęciem jego teoryi o złem urządzeniu świata, wygłaszanych nizkim, miękkim, śpiewnym głosem, a nad nimi unosiło się jasnobłękitne niebo lipcowe, od pól szedł zapach zbóż, lipy sypały im

pod nogi złocisty swój kwiat, napawający aromatem powietrze, roje pszczół szemrały głośno, wysysając miód i wszystko działo się tak samo, jak przed wiekami było i jak po wieki wieków będzie.

— Bo proszę uważać, że rozdział kapitałów w społeczeństwach ludzkich jest nierównomierny; obok bogactw, które nie wiedzą, co z sobą zrobić, istnieje nędza. A przecież każdy ma prawo do życia i do szczęścia. Nie mówię tu nic nowego, pani o tem wiesz dobrze, jesteś kobietą, o ile mi się zdaje, rozumną i odczuwającą doskonale prądy czasu, ale nie mogę się powstrzymać od wypowiadania tego, co mi pierś przepełnia. — Wściekam się, zgrzytam zębami, patrząc, jak głupio ludzie się urządzili.

W jego czarnych, zmęczonych oczach błysnął złowrogi płomień, podniósł swój kij sękaty i zdawał się nim grozić niewidzialnemu wrogowi. Nagle zatrzymał się, stanął wprost Anielki i zapytał:

— Byłaś pani kiedy w jakiem wielkiem mieście?

Zaśmiała się na to nagłe, niespodziewane i pozornie niemające związku z rozmową dotąd toczoną, pytanie.

— Naturalnie, że byłam. Kończyłam przecie pensyę w Warszawie.

— Tak, ale z pewnością nigdy nie przyszła pani do głowy żadna myśl, gdyś patrzyła na te olbrzymie gmachy, świątynie, pałace, posągi, na te tysiączne ślady pracy ludzkiej. Prawda? nigdy żadna myśl w pani się nie obudziła, żadnego wniosku z tego widoku nie wyprowadziłaś?

— Nie bardzo rozumiem, o co panu idzie. Różne myśli mogły mi przychodzić do głowy, ale nie wiem, do czego pan zmierzasz.

— Do czego ja zmierzam, do czego ja zmierzam! — zawołał z goryczą, uśmiechając się ironicznie, i ruszył znowu naprzód, machając zawzięcie swą pałką sękatą i pociągając za sobą Anielkę — a przecież to takie proste i ja się zawsze dziwię, dlaczego ludziom myśl tak naturalna, tak konieczna, jak to, że słońce co dzień rano wstaje i codzień wieczór zachodzi, w głowie nie zajaśnieje.

— Jakaż to myśl?

— Jaka to myśl? — szepnął na pół do siebie, i nagle z właściwym sobie ruchem nerwowym zatrzymał się znowu, stanął wprost Anielki, i wlepiając w nią swe palące, roziskrzone ogniami zapału oczy, rzekł:

— Powiedz mi pani, kto krwawym potem, kto pracą swych twardych rąk roboczych, zbudował to wielkie miasto, te olbrzymie gmachy, świątynie, wieże, złociste pałace, spiżowe posągi? Kto to zbudował?

Roześmiała się szczerze, głośno, ukazując z pod warg purpurowych szereg białych ząbków, gotowych ten świat źle urządzony pogryść i schrupać i odpowiedziała:

— Zabawne pytanie.

Odwrócił się od niej z wyrazem zniechęcenia, machnął sękatym kijem i rzekł:

— Tak, zabawne pytanie. Wszystko jest zabawne, czego nie rozumiemy.

I nagle, ożywiając się, zawołał:

— Tylko, że w każdej zabawnej rzeczy leży głęboka tragedya i ból tysięcy. Jedni się śmieją, inni płaczą. Wszystko to już było, powiedział jakiś mędrzec wschodu i niewątpliwie powiedział prawdę, tylko że tego co będzie, jeszcze nigdy nie było. Pani nie chcesz mi odpowiedzieć na moje pytanie i śmiejesz się, bo ono ci się wydaje nietylko zabawnem, ale głupiem. Jednakże powiedz, kto zbudował te wielkie miasta, w których setki tysięcy ludzi bije się jak psy głodne o kość, o gnat uczty życia.

— Dobrze, odpowiem panu, te wielkie miasta zbudowali ludzie. Cóż innego mogłabym odpowiedzieć?

— Tak, masz pani racyę, nikt inny nie zbudował i zbudować nie mógł, tylko ludzie. Ale jacyż to ludzie? Czy ci, co mieszkają w tych złocistych pałacach, rozwalają się na miękkich meblach, sypiają w puchach, jedzą zamorskie potrawy, piją kosztowne wina, ubierają się w aksamity, jedwabie, bisiory i złotogłowie, którzy jeżdżą powozami, mają liczną służbę i nic nie robią? Powiedz pani, czy to oni zbudowali te wielkie, piękne, wspaniałe, lśniące przepychem miasta?

— No, oczywiście, że nie oni.

— A któż?

— Budowniczowie, architekci... czy ja wiem zresztą, kto?

— Budowniczowie! architekci! czyż oni je zbudowali własnemi swemi rękami?

— Nie... zbudowali murarze, cieśle, dekarze i inni rzemieślnicy.

— A! *Hier liegt der Hund begraben!* tak, pani, te wielkie miasta zbudowali nie zbytkujący burżuje, ale twarde, spracowane ręce robotników. Oni wznieśli te pałace, aby garstka próżniaków rozkoszne w nich pędziła życie, garść ospałych burżujów. A teraz pytam: I cóż ci pracownicy mają za to? czy mieszkają w tych pałacach, swemi rękami wzniesionych? Nie! oni tłoczą się, gnieżdżą po suterenach, po piwnicach, po ciemnych, ponurych zaułkach, gdzie brak powietrza, przestrzeni, gdzie dzieci ich umierają bez słońca, bez nieba, bez zieleni. Oto jak jest urządzone to mądrze społeczeństwo dwudziestego wieku!



— Czy tutaj jest dwór?

Podniósł wzrok ku niebu i zawołał:

— I ty Boże na to patrzysz!... a ludzie po dawnemu żenią się, kochają, płodzą nędzę, jakby uczta życia była dla każdego zastawiona. O głupoto ludzka! nieśmiertelna, wiekuista głupoto ludzka!

— Cóż pan chcesz, miłość jest prawem natury, przenika wszystko, tak dobrze rozchyla swój wonny kielich w ponurej piwnicy, jak i w złocisych sypialniach.

Spojrzał na nią, gdy to mówiła z roziskrzonemi oczyma i rozchylonemi ustami, jakby pragnęła gorącego, miłosnego pocałunku, a pierś jej pod stanikiem falowała rozkosznie, spojrzał, dziwnie jakoś zaciekawiony, i rzekł po chwilowem milczeniu.

— Tak, jest to fatalna siła, demon ludzkości, pędzący ją na bezdroża. Dla tego też, jestem przekonany, że kobiety nic nigdy nie zdziałają wielkiego na świecie, nie przyczynią się do jego przeobrażenia, bo one są stworzone dla miłości i tylko dla miłości. Są one hamulcem, ziarnkiem piasku, które rozpędzone koło męskich usiłowań zawsze, nawet w chwili najpotężniejszego czynu, wstrzyma w biegu. Tak, świat dzięki kobietom toczyć się będzie po zwykłej utartej kolei, aż zgnije.

Oburzyła się na te słowa. W jej czarnych, jak aksamit mieniących się oczach zajaśniał błysk gniewu. Z pogardliwem wygięciem różowych ust, z rozdętemi nozdrzami, zawołała:

— Więc pan myślisz, że kobiety są na nic nie przydatne, że przeobrażenie świata jest dla nich rzeczą obojętną, że myślą tylko o tem, by rzucić się w oczekujące na nie objęcia obrzydłych samców? I to pan, który przed chwilą wygłosiłeś tyle pięknych, postępowych myśli, tak mówisz? Doprawdy, te słowa męskie są osobliwie uorganizowane. Wszystko tam się miesza w zachwycającym nieładzie, złoto z błotem.

Wstrząsnęła ładną główką, na której ciemne włosy padał kwiat wonny starych lip i kładł się złocistą plamą promień ciepłego słońca letniego i ciągle, z pogardliwem wydęciem swych ust różowych mówiła:

— Więc pan myślisz, że my tylko o miłości myślimy? O! jakże się mylisz! Minęły już czasy romantycznych Aldon, Grażyn i Snów srebrnych Salomei. Niema teraz kobiet, któreby się całe życie kochały w jedym mężczyźnie. To jest przeciwne prawom natury. Gdyby ta pszczoła, co tu brzęczy, ciągle ssała słodycz z jednego kwiatu, toby nie tylko miodu do ula nie przyniosła, ale sama by z głodu padła.

— Co za porównanie poetyczne! zaśmiał się Wiśniewski.

— Tu wcale nie idzie o poezyę! Zrobiłam to porównanie, bo ono doskonale moją myśl maluje. Tak i w życiu kobiety miłość jest tylko epizodem. Wy, wy to wstrętne samce jesteście tem ziarnkiem piasku, utrzymującem rozpęd maszyny społecznej. Gdyby dziś, jutro, trzeba było pobiedz, by zapalić lont, przyłożony do beczki z nitrogliceryną, mającej wysadzić w powietrze stary porządek rzeczy, to samiec obrzydły, któremu powierzono to zadanie, spotkawszy na swej drodze pierwszą lepszą wabiącą go spódniczkę, z pewnością zatrzyma się, zapomni o tem, z czem go posłano, a poleci za spódniczką, by w jej pieściwym uścisku utonąć. Wstrętne, lubieżne samce!

— A dlaczegoż go ta spódniczka wabiła?

— Dla czego! dla tego, że i wśród kobiet są samice!

— A pani nią nie jesteś?

Mówił to, patrząc na jej postać utoczoną, na jej zgrabną figurkę, szerokie biodra, wydatne piersi, na jej ładną twarzyczkę, na szyję, całowaną przez niedyskretny promień złotego słońca. Zarumieniła się jak róża, chwytając to jego spojrzenie, odwróciła się nieco bokiem, jakby chciała ukryć przed nim pociągające go wdzięki i rzekła:

— Otóż to logika męska! Otóż rozmowa z mężczyzną, która zawsze skończyć się musi na bezwstydnem pożądaniu. Nie sądź pan, byś mię tem zawstydził, jestem kobietą, człowiekiem, nie gęsią, spuszczającą wstydli wie oczka i udającą fałszywą skromność; wiem, co życie warte i skąd ono się bierze.

— Pani musiałaś bywać na wiecach matek w Warszawie, gdzie podobno matek wcale nie było, ale zato tak zwanych panien i pół-dziewic, mnóstwo. A może też te śmiałe zdania zaczerpnęłaś pani z prelekcyi doktora Cynickiej-Wsteczníckiej, o których tak wiele mówiono w swoim czasie i na które wszystkie podlotki latały, by z bliska przypatrzeć się temu, skąd życie się bierze. Właśnie to wyrażenie pani...

Smiał się nerwowym śmiechem, odgarnął szybkim ruchem spadające mu na czoło włosy i patrzał szyderczo w oczy Anielki. Ta rozgniewała się naprawdę, odwróciła się od niego i rzekła:

— Myślałam, że znajdę w panu duszę pokrewną...

— Skowyczącą do duszy bratniej — poderwał — nie moje to, ale całkiem nowoczesne wyrażenie.

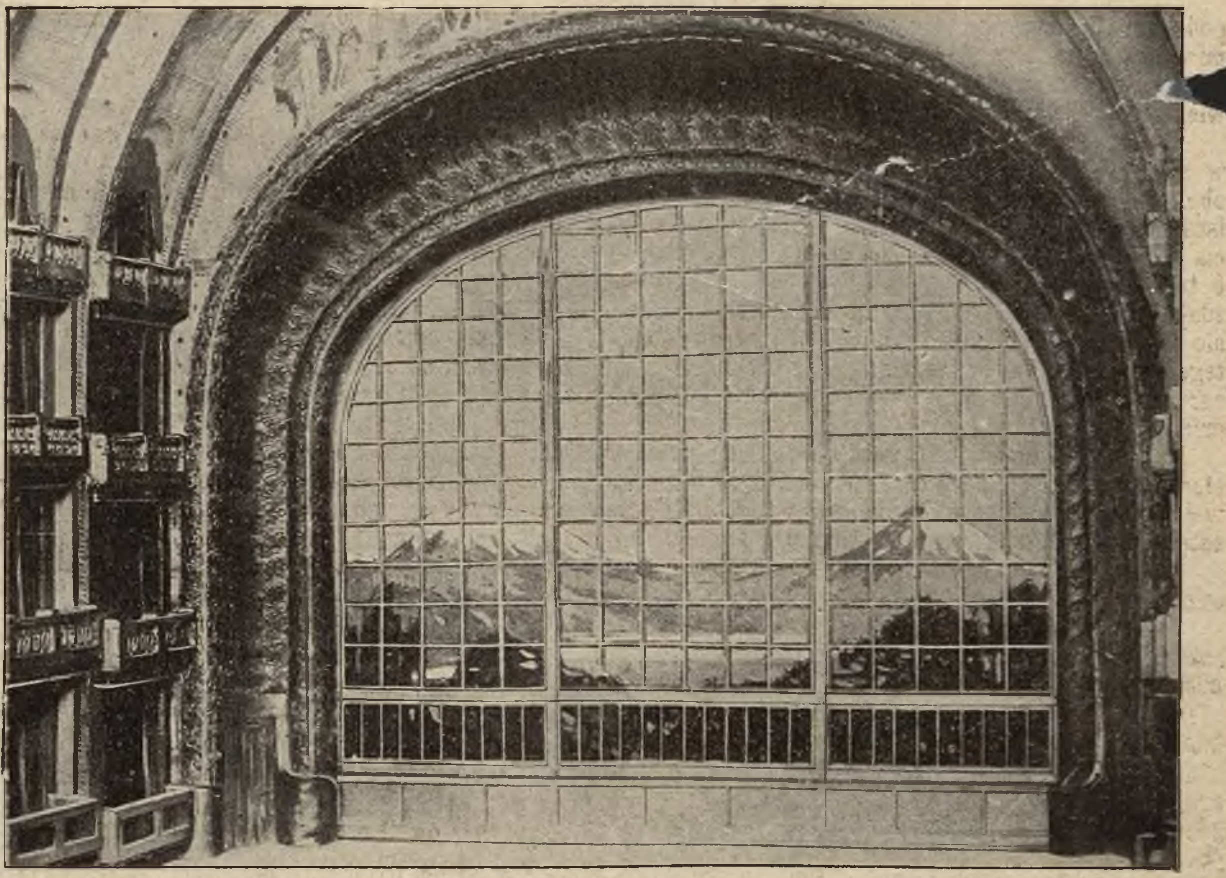
(Dalszy ciąg nastąpi).

Szklana kurtyna.

W Europie istnieje zwyczaj zdobienia kurtyn teatralnych malowidłami mistrzów pędzla. Chciwej sensacyi publiczności amerykańskiej to nie wystarcza. Wymaga ona na każdym punkcie oryginalności, przechodzącej nawet w ekscentryczność. Nowym tego dowodem jest szklana kurtyna, wyrobiona niedawno w Nowym Yorku dla narodowego teatru w stolicy Meksyku.

Kurtyna ta składa się z dwustu kawałków barwnego szkła, które tworzą obraz największego wulkanu amerykańskiego Popokatepetl. Waży ona 30 tonn, a podnosi się zapomocą ciśnienia hydraulicznego w przeciągu siedmiu sekund.

Amerykańskie gazety wysławiają tę kurtynę, jako najdroższą i najpiękniejszą na świecie. Pierwsze nie ulega wątpliwości. O drugie jednak możnaby się kłócić. Wszakże piękny niezaprzeczenie widok przyrody musi przedstawiać się widzowi, jak gdyby obserwowany przez kraty więzienia. Przypomina zapewne także znaną zabawkę dziecinną, obrazki układane z kostek... Zostańmy my przy kurtynie Siemiradzkiego i powtórzmy stare przysłowie: Nie to piękne, co piękne, lecz to, co się komu podoba.



Szklana kurtyna: Kurtyna teatru narodowego w Meksyku (mieście).

Gimnazyaliści strażacy.

Bardzo piękną, prawdziwie pedagogiczną i obywatelską myśl wprowadzono w życie niedawno w Tarnopolu. Oto z inicyatywy i pod kierunkiem urzędnika tamtejszej filii Tow. wzaj. ubezpieczeń p. Mieczysława Kulikowskiego, pełnego zapału krzewiciela idei pożarnictwa, urządzono tam czterodniowy kurs strażacki dla uczniów czterech najwyższych klas gimnazyum polskiego; uczestniczyło w tym kursie 18 uczniów. Dzięki przychylności komisarza rządowego dra Cz. Trembałowicza, uczestnicy kursu korzystali bezpłatnie z sali magistrackiej, oraz z przyrządów pożarnych miejskich.

Nauka odbywała się rano i popołudniu, przez siedm godzin dziennie. Wiadomości z zakresu pożarnictwa, tak teoretycznych jak praktycznych, udzielał kierownik kursu p. Kulikowski, o zasadach hygieny i pierwszej pomocy w nagłych wypadkach pouczał lekarz miejski dr. D. Hordyński.

Po ukończeniu kursu odbył się w sali magistratu w obecności komisarza Trembałowicza, dyrektora gimnazyum Lenkiewicza, naczelnika „Floryanki“ w Tarnopolu Podlewskiego, przedstawiciela kółek rolniczych i zaproszonych gości, publiczny egzamin uczestników kursu z teoretycznych wiadomości w zakresie pożarnictwa oraz hygieny i udzielanie pierwszej pomocy w nagłych wypadkach. Po części te-



Gimnazyaliści strażacy: Uczniowie gimnazyum polskiego w Tarnopolu, którzy uczestniczyli w kursie pożarnictwa. W pierwszym rzędzie siedzą od lewej ku prawej: dyrektor gimn. Lenkiewicz, komisarz rządowy dr. Trembałowicz, lekarz miejski dr. Hordyński i kierownik kursu Kulikowski.

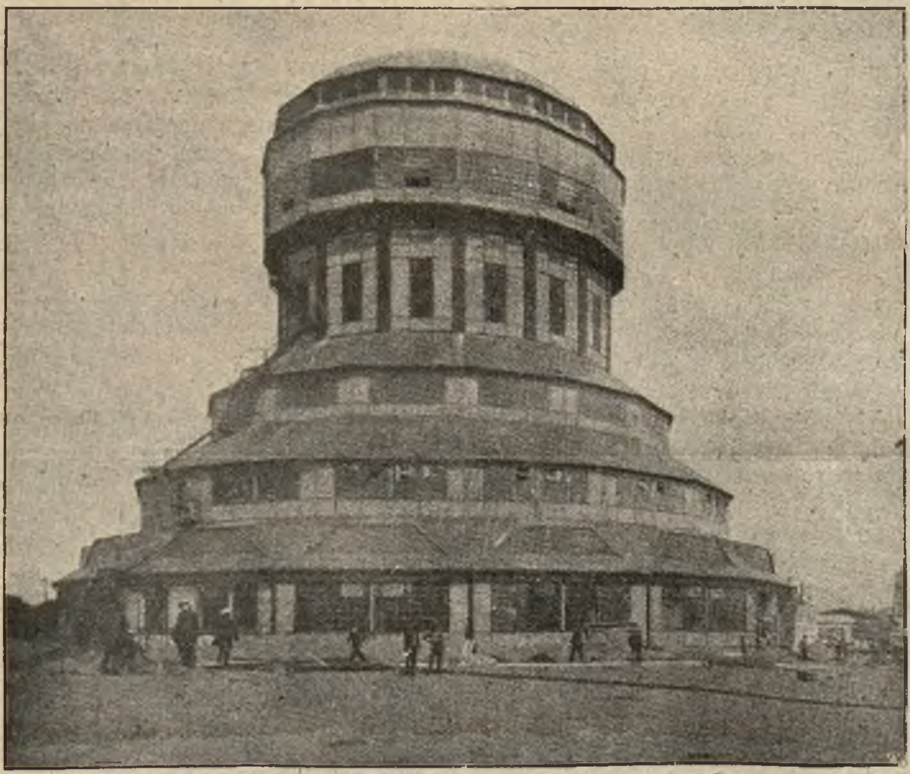
wie



Na kresach zachodnich: Pawilon przemysłowy na wystawie wschodnio-niemieckiej w Poznaniu.

oretycznej egzaminu nastąpiła praktyczna; mianowicie uczestnicy kursu wykonali szereg ćwiczeń gimnastycznych w zastosowaniu do pożarnictwa, potem zaś na błoniach po próbnym alarmie demonstrowali gaszenie pożaru odosobnionego budynku, jako też obronę sąsiednich domów przed niebezpieczeństwem pożogi.

Egzamin teoretyczny wykazał znaczny zasób wiadomości, ćwiczenia zaś praktyczne doskonałe obznajomienie się z przyrządami strażackimi i umie-



Na kresach zachodnich: Pawilon górno-śląskiego przemysłu żelaznego na wschodnio-niemieckiej wystawie w Poznaniu.

jętność obchodzenia się z nimi, co jest tem chwalebniejsze, że kurs trwał zaledwie cztery dni. Zwłaszcza doskonale wypadł alarm próbny, przeprowadzony przez instruktora kursu, przyczem podziw wzbudzała sprawność i karność młodych strażaków.

Wobec tak pomyślnych wyników, na wspomnianym kursie osiągniętych, należy się spodziewać, iż przykład Tarnopola zachęci także inne miasta do urządzenia pod patronatem Rady szkolnej krajowej podobnych kursów, których pożytek nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Grupę uczestników pierwszego kursu gimnazyalistów-strażaków zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Na kresach zachodnich.

Dzięki zabiegom nadburmistrza Wilmsa urządzono w Poznaniu wschodnio-niemiecką wystawę, mającą niezbicie stwierdzić i udowodnić dorobek germanizacyjny hakatystów na kresach wschodnich imperyum niemieckiego. Przywiązywano do niej nadzwyczaj różowe nadzieje, spodziewano się, że wypadnie wspaniale i zaimponuje nietylko Polakom, ale i całemu światu, tymczasem przekonano się, że porwano się z motyką na słońce, gdyż wystawa zrobiła najzupełniejsze fiasco, jak zgodnie stwierdza prasa polska i niemiecka.

Urządzenie wystawy pod hasłem, wrogiem dla Polaków, spotkało się z słusznym jej bojkotem przez ludność Poznańskiego. Nawet umiarkowani i niehakatystycznie usposobieni Niemcy wstrzymali się od udziału. To też plac wystawowy świeci pustkami, najgorzej zaś na tem wychodzą różnego rodzaju przedsiębiorcy, którzy spodziewali się prawdziwego dla siebie żniwa, a tymczasem z bólem serca widzą, że czeka ich niechybna strata. Przeklinają też swych szowinistów rodaków, którym przypisują całą winę, nie przestając naturalnie narzekać i na niekulturalność polskiego społeczeństwa, nie chcącego jakoś ani rusz poznać się na wyższości ducha niemieckiego i nie myślącego ugiąć przed nim karku.

Rzecz prosta, że tu i ówdzie pojawiają się w niemieckiej prasie wzmianki o polskiej intrydze, która na każdym kroku następuje na najboleśniejsze dla Prusaków nagniotki, a już najbardziej pienią się ze złości panowie z pod znaku H. K. T., zgrupowani głównie koło komisyi kolonizacyjnej, mającej za zadanie ochronę kresów wschodnich przed naporem słowiańszczyzny. Powód tej wściekłości bardzo łatwo zrozumiały, obecna wystawa, to jaskrawy dowód ich bezsilności i nieurodzajności gruntu, na którym miały się krzewić ich zaborcze idee. Społeczeństwo polskie zachowując się jeśli nie wrogo, to przynajmniej zupełnie obojętnie wobec ich przedsięwzięcia, dało tem samem dowód swej dojrzałości politycznej i odporność na ich zakusy i ataki.

Niezadowolone miny przedsiębiorców niemieckich, a w perspektywie kilkanaście bankructw rozmaitych firm, to jedyny moralny sukces, jakim z racyi wystawy może się poszczycić hakata.

Wre też między nią, jak w ulu, wyrazem zaś sympatycznego usposobienia względem Polaków, były rezolucye, powzięte w dniu 29 maja b. r. w czasie tak zwanego „dnia niemieckiego“, urządzonego w Poznaniu z racyi owej wschodnio-niemieckiej wystawy.

Główny wydział stowarzyszenia dla kresów wschodnich (Ostmarkverein) obradował długo i burzliwie i wyraził jednozgodne zapatrywanie, że obstaje w zupełności przy konieczności wywłaszczania ludności polskiej i oczekuje, iż rząd pruski, posiadający w tej sprawie zaufanie całych Niemiec, przystąpi niezwłocznie do wykonania ustawy z r. 1908 dla utrzymania w ciągłości akcyi kolonizacyjnej. Hakatyści są zaniepokojeni zapowiedzią, iż kolonizacya dzielnic polskich ma uledz ograniczeniu, protestują też przeciw temu, aby „wielkie dzieło Bismarka“ miało być naruszone lub zachwiane.

Jak zaś pokojowo usposobieni byli wiecownicy, łatwo poznać z zakazu policyi poznańskiej, która, bojąc się ekscesów, zabroniła pochodu niemieckiego przez miasto, wiadomo zaś, że represyę stosuje ona tylko względem Polaków, wobec Niemców zaś chyba w nadzwyczajnych wypadkach, musiała więc wiedzieć, co robi i na jakie zarzuty się naraża.

Do niniejszego artykuliku dołączamy kilka illustracyi, przedstawiających widoki z nieszczęsnej wystawy, która tak zakrwawiła serca prawych Niemców, nie widzących świata poza pruską pikelhaubą,



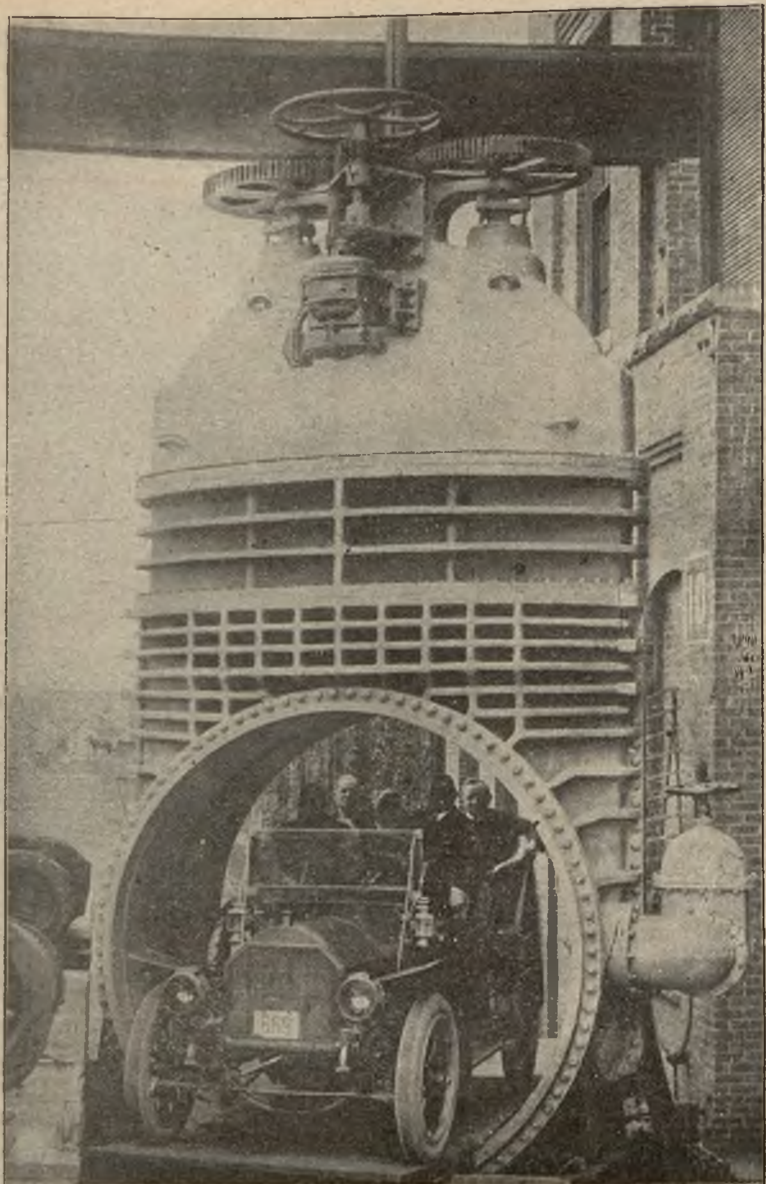
Na kresach zachodnich: Budynek królewskiej komisyi kolonizacyjnej w Poznaniu.

a uważających Polaków i wogóle Słowian za ofiary, przeznaczone na pożarcie germańskiemu molochowi, niestety jednak, jak się właśnie pokazało, nie bardzo straszne. Ponadto zamieszczamy fotograficzne zdjęcie budynku, w którym się mieści kierownictwo królewskiej komisyi kolonizacyjnej, ta kuźnia, skąd wychodzą wszystkie zamachy na naszą narodową egzystencyę i widok części kolonii niemieckiej w Schönerhausen, gdzie osiedlili się rzekomi pionierowie germańskiej cywilizacyi, mający za zadanie europeizować niekulturalnych Słowian.

Czyściutko tu, co prawda i porządnie, wieś ta, zbudowana według urzędowego szablonu z drogami i płotami, poprowadzonymi, jak to mówią pod „sznurek“, jest jednak monotonną i nie posiada nic z tego



Na kresach zachodnich: Kolonia niemiecka w Schönerhausen w Poznańskiem.



Olbrzymi wentyl: Automobil z pięciu osobami, przejeżdżający środkiem ogromnego wentylu elektrycznego przy wodospadzie niagarskim.

wdzięku i malowniczości, jaką się odznaczają nasze, choćby najuboższe i najmniejsze osady.

Olbrzymi wentyl.

Zadziwiający jest zaprawdę i niesłychanie szybki rozwój i postęp wiedzy ludzkiej, zwłaszcza w dziedzinie techniki. Umysł człowieka wysila się na coraz nowsze, coraz oryginalniejsze projekty, których zrealizowanie nie przedstawia następnie wielkich trudności, choć są to prace nieraz niesłychanie skombinowane, o jakich przed paru dziesiątkami lat nawet nie można było marzyć.

Do tego rodzaju niezwykłych objektów z zakresu techniki należy nowy wentyl do regulowania wody w elektrowni pod wodospadem niagarskim. Woda wytwarza tam mianowicie w turbinach energię 12 tysięcy H. P. Aby przeciwdziałać ciśnieniu 250.000 kg. jakie tam się wytwarza, okazała się potrzeba zbudowania ogromnego wentylu, wykonanego z wielką precyzyą.

Mierzy on 11 stóp szerokości, a 30 stóp wysokości, waży zaś około 30 tonn. Do zupełnego zamknięcia go lub otwarcia potrzeba tylko 3 minut czasu, co wskazuje najlepiej i najwymowniej, jak dokładnie, jak skrupulatnie wszystkie szczegóły budowy tego wentylu są wykonane i z jaką precyzyą funkcyonują.

Rozmiary wspomnianego wentylu wskazuje najlepiej nasza rycina: przez środek jego przejeżdża zupełnie wygodnie i swobodnie obszerny atomobil z pięciu osobami.

Szkoła polska w Wiedniu.

Wiele pisze się u nas i mówi o odporności narodowości polskiej. Jest w tem wiele słuszności, a za świadectwo posłużyć może fakt, że potomkowie Niemców i Czechów, przysłanych do Galicyi dla jej germanizowania, spolszczyli się zupełnie, przeważnie już w drugiem pokoleniu. Ale ta zdolność assymilowania żywiołów obcych nie świadczy jeszcze o tem, ażeby Polacy, małemi garstkami rzuceni między inny naród, nie mogli utracić narodowej świadomości, języka i obyczajów ojczystych. I w każdym razie nie należy liczyć na tę odporność, owszem, obowiązkiem jest społeczeństwa czuwać nad jednostkami, które warunki życiowe zmusiły do opuszczenia kraju.

Szczególną pieczą winniśmy otaczać młode pokolenie. Młodzieniec, który ukończywszy szkołę średnią, na wyższe studya wyjeżdża za granicę, nie wynarodowi się tak łatwo. Ale co stanie się z dzieckiem, które nie mając jeszcze wyrobionych pojęć, nie pojmując wielu rzeczy, początkowe nauki pobierać będzie od obcych i w obcym języku? Odpowiedź łatwa. Wrażliwy umysł przesiąknie poglądami nauczycieli, serce ochłódnie dla ojczyzny, język odzwyczai się od dźwięków mowy rodzinnej. Czuwajmy tedy nad dziećmi rodaków, przebywających między obcymi!

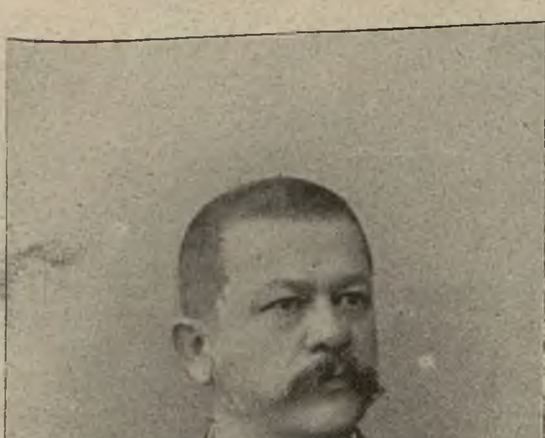


Szkoła polska w Wiedniu: Budynek szkolny w Leopoldstadt. (Volkerstrasse).

Ta myśl przyświecała twórcom szkoły polskiej w Wiedniu, którą przedstawia załączona illustracya. Szkoła ta mieści się w pięknym budynku w dzielnicy II. (Leopoldstadt) przy Volkerstrasse i spełniała oraz spełnia chlubnie swe zadania placówki narodowej, broniąc dzieci naszych wiedeńskich rodaków przed wynarodowieniem.

Kurs pożarnictwa w Wieliczce.

Kółka rolnicze są instytucyą niezmiernie pożyteczną i ruchliwą. Nie ograniczając się do niesienia pomocy większej i mniejszej własności ziemskiej,



Nowy dyrektor poczty w Krakowie: Stanisław Hićkiewicz, powołany ze Lwowa na stanowisko dyrektora poczty w Krakowie.



Kurs pożarnictwa w Wieliczce: Uczestnicy kursu z nauczycielami i kierownikami na czele.

i na innych polach robią wiele dobrego. Zakładanie i popieranie ochotniczych straży pożarnych jest jedną z ich rzetelnych zasług. Dbają również o odpowiednie wykształcenie członków tych straży i u-



Drzewo z krzyżem: Dwa rosnące obok siebie drzewa z krzyżem u szczytu, w ogrodzie probostwa w St. Paul les Beauvais we Francyi.

rządzają dla nich kilkodniowe kursa, które w wysokim stopniu przyczyniają się do wyrobienia w nich sprawności i biegłości w walce z groźnym żywiołem, w ratowaniu życia i mienia ludzkiego.

Podobny kurs odbył się w dniach od 29 maja do 1 czerwca w Wieliczce. Kierownictwo objął dr. Z. Miczyński, jeden z najstarszych członków ochotniczych straży pożarnych, były prezes ich Związku słowiańskiego, jednostka zasłużona, której ofiarności i energii straż wielicka zawdzięcza swe istnienie. Prócz niego udzielali nauki dr. Spitzel, pp. Holzer i Sroka. Kursistów było 18.

Na zakończenie odbył się popis, który odrazu pozwolił stwierdzić, ile uczestnicy skorzystali, gdyż wypadł ku zupełnemu zadowoleniu nauczycieli i licznie zgromadzonej publiczności.

Drzewo z krzyżem.

Zdarza się niejednokrotnie w przyrodzie, iż pewne rośliny, drzewa, skały, itd. przybierają bardzo oryginalne kształty, dziwnym zbiegiem okoliczności przypominające wyglądem swym bądź jakiś przedmiot, bądź część ciała ludzkiego, nierzadko np. głowę, z powodu czego wśród ludu okolicznego krążą o tem nieraz bardzo romantyczne legendy. Już w starożytności znane było bliźniacze drzewo, o którego pochodzeniu, zgodnie z legendą, napisał piękny wiersz poeta Owidiusz, opowiadając w nim o życiu dwojga kochających się małżonków Filemona i Baucydy, którzy na swe życzenie równocześnie zmarli i zamienieni zostali w rosnące przy sobie dwa drzewa.

Wśród ludu polskiego krążą również rozmaite legendy, odnoszące się do pewnych wybryków przyrody z tego zakresu.

Jednem z najoryginalniejszych drzew tego rodzaju jest drzewo w ogrodzie parafii w St. Paul les Beauvais we Francyi, którego jedna gałęź przedstawia bardzo dokładny wizerunek krzyża. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa drzewo to — mające obecnie 300 lat — w biegu czasu zostało przez jakieś zewnętrzne wpływy w swej górnej części nachylone w bok. Możliwe też, że przeważająca siła rozrastających się daleko gałęzi sąsiedniego drzewa skrępowała normalny rozwój tego, wówczas młodego i jeszcze słabego drzewa. Dość, że główna gałęź jego tak silnie została wygięta wskutek nacisku rosnącego w górę w kształcie krzyża pnia, iż zrosła się z sąsiedniem drzewem. Oba te drzewa tworzą obecnie rodzaj altany, u której szczytu wznosi się wspomniane odgałęzienie jako krucyfiks, pokryty drobnemi gałązkami.

Ponieważ ogród z tem drzewem należy do probostwa, nie trudno zrozumieć, że nabożni księża z St. Paul les Beauvais pielęgnują starannie formę krzyża na drzewie.

Kurs stolarzy we Lwowie.

Usiłowania w celu podniesienia poziomu wykształcenia narodowego naszych rękodzielników, nie ustają ani na chwilę i nieustannie notować trzeba dalsze pod tym względem kroki. Objaw to bardzo pomyślny i pożądany, tylko bowiem należycie wyszkoleni i wykształceni rękodzielnicy będą mogli z dodatnim rezultatem stanąć do walki konkurencyjnej z wyrobami zagranicznymi i wyrobami przeważnie fabrycznymi, więc tańszymi, choć bez porównania lichszymi.

Ostatni kurs stolarski we Lwowie, urządzony niedawno pod patronatem Wydziału krajowego, był właśnie jednym z ogniw tego łańcucha usiłowań ku podniesieniu rękodzieła galicyjskiego.

Na kurs ten uczęszczało kilkunastu majstrów i kandydatów na majstrów stolarskich, aby uzupełnić swe wiadomości zawodowe zarówno teoretyczne, jak praktyczne. Przez kilka tygodni pracowali sumiennie i gorliwie pod kierownictwem fachowych nauczycieli, to też rezultaty nauki są bardzo duże.

Przed kilku dniami odbył się na zakończenie



Nowy prezes wiedeńskiej Akademii Umiejętności: E Böhm-Bawerk, b. minister skarbu, powołany na prezesa wiedeńskiej Akademii Umiejętności.

kursu egzamin, który wypadł ku zupełnemu zadowoleniu kierownika kursu.

Grupę uczniów wraz z nauczycielami inspektorem przemysłowym p. Adamem, przedstawia nam dzisiejsza rycina.



Kurs stolarzy we Lwowie: Uczestnicy kursu wraz z nauczycielami i inspektorem przemysłowym Adamem w pośrodku.
(Fot. M. Münz, Lwów)

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

32

W łonie stolicy Królestwa w ciągu dni rozpraw na błoniach pod Bolimowem — zaszły niepojęte, niewytłómaczone zmiany. Zmiany, których nawet wezwani do Warszawy członkowie Rządu i komisarze sejmowi nie mogli ogarnąć.

Nikomu nie było tajno i oddawna, że Klub patryotyczny burzy ludność, że i Zaliwski i Mochnacki i Czyński i Lelewel sam pracują nad zachwianiem powagi Rządu, nad odtworzeniem krwawych dni francuskiego konwentu. I sejm i rząd i municypalność i wszystkie ogniwa władzy znały na palcach burzycieli, demagogów, opętanych ideowców, mściwych pyszałków, wichrzycieli i agitatorów. Rozumiano się u steru i na niechęci u Skrzyneckiego, i na niezadowoleniu, że sąd na zdrajców nie dość szybko się rozprawia i na tem wszelkiem przeczuleniu, niepokoju, gorączce, która płynęła z grasującej cholery i z niepowodzenia oręża polskiego i z trwogi o rodzonych i ze zbliżania się nieprzyjaciela!

Rozumiano się znakomicie i baczono na lada objaw złowrogi.

Z początku członkowie Rządu tuszyli sobie, że sam powrót ich do stolicy uciszy wrzenie, zwłaszcza że dla ludu warszawskiego mieli wspaniały raport z deputacyi do Bolimowa, mieli Dembińskiego, mieli niesłychanie doniosłą zmianę konstytucyi, bo poddanie wodza rozkazom Rządu, no i tuzin konceptów na odwołanie się do obywatelskiego ducha szlachetnych mieszkańców. Lecz że te, dotąd niezawodne środki nie zdawały się odrazu skutkować, więc nie zaniechano wzmocnienia posterunków gwardyi, pomnożenia patrolów, wart i gubernatorskiej czujności.

Aliści Warszawa odpowiedziała na te zarządzenia jeno głośniejszem szemraniem. Klub patryotyczny do otwartego nawoływał buntu. Pisemka, pamflety, plakaty na rogach ulic wróżyły niechybną śmierć zdrajcom i kunktatorom. W koszarach sejmikowano niby u Honoratki.

Rząd zebrał się na nieustające obrady...

Warszawa drżała w posadach, hukiem podziemnym zwiastowała nadchodzącą godzinę wybuchu — a pałac Radziwiłłowski precz się zastanawiał, jako należy sobie począć i nie poczynał nic zgoła. Lecz że chwila była groźna, więc członkowie Rządu radzili dalej, bez przerwy, dzień i noc, dwa dni z rzędu i trzeciego dnia jeszcze trwali dla dobra ojczyzny w fotelach sesyonalnej sali — choć był to dzień świąteczny, dzień Wniebowzięcia!...

Nie było zgody w Rządzie. Dawne przymierza oligarchów znikły. Pięć ciągle było zdań. Morze słów wylewano o potrzebie wdrożenia uszanowania dla władzy, o silnem ramieniu, o rozpaczliwych terminach, o zewie ludu, o tem gdzie, kiedy i jak która rewolucya, która rzeczpospolita, które państwo w podobnych terminach bywało i jak się z nich dobyć mogło lub dobyło...

A równocześnie każdy z pięciu członków innych wyglądał zbawców, każdy z nich radził a nadsłuchiwał, czyli upragniony nie nadejdzie odzew.

Czartoryski, przygnębiony austryackim komunikatem, żywił nadzieję, że rozwaga najdzie i Dembińskiego i Paskiewicza, że rokowania dowódców nawiążą nici rozejmu a kongres mocarstw dokona, co należy, no i że juści pierwsza wiadomość o parlamentarzach ukoi stolicę; Niemojowski wierzył w Prądzyńskiego i Sejmu powagę; Morawski sądził, że wogóle wrzenie trzeba pozostawić wrzeniu; Barzykowski czekał na armaty Dembińskiego; Lelewel miał w zanadrzu listę skazanych na śmierć przez przyszły rewolucyjny komitet... listę, którą rozpoczynał Czartoryski!

Tymczasem ranek dnia 15 sierpnia zdawał się zapowiadać niewątpliwie zbawczy wpływ trwającej pracy Rządu.

Warszawa, jak zwykle, dzień świąteczny rozpoczęła od wędrówki do świątyń, od spaceru po nabożeństwie, od rozkoszowania się zielenią, słońcem przepojonych ogrodów.

Po cukierniach, gospodach było tyle gwaru, jak przystało na dzień świąteczny. Ludek kupił się na placach i rynkach, zbijał w gromadki, rozprawiał według zwyczaju, według zwyczaju najgłośniej dowodzili oficerowie, co do żadnego nie należeli pułku. Zresztą i cisza i ład i swywola nawet. Wybierano się na „Fra Diavola“, recytowano sobie ostatnie „Miotełki“, bajdurzono o kozakach i czytano proklamacye patryotyczne, jak od miesięcy, jak co dnia.

Ledwie popołudniu na gubernatorstwie, na policyi nieco się stropiono. Bo oto ktoś nietylko doniósł, że generał Dembiński wraca z całem wojskiem do Warszawy, ale że wraca na dokonanie 18 *brumaire'a*, czyli że armaty na ulicach zaciągnie, Klub powywiesza a krnąbrny ludek kartaczami mores nauczy.

Zafrasował się imć pan Węgierski, co teraz generał gubernatorską władzę sprawował i dał znać do Radziwiłłowskiego pałacu. Pałac Radziwiłłowski zaciągnął tę, wymagającą sprostowania pogłoskę, na porządek dzienny i radził dalej. Pogłoska zaś szła, obiegała miasto...

Pułkownik Bem tego samego dnia, już przed zmierzchem, wybrał się na miasto i to zgoła uroczyście, bo w odświętnym wicemundurze i nowych epoletach. Ta niezwykła staranność pułkownika z kilku wynikała powodów. Najpierw, że po tygodniu roz- terki, przygnębienia przyszło nań uciszenie, poddanie — zjawiło się tem łatwiej, iż nazajutrz po odwiedzinach Krukowieckiego przyszedł odzew ze sztabu. Odzew ten nie zwiastował mu jeszcze dowództwa, nie wracał mu bateryi, powoływał do komisyi obrony stolicy tylko, ale zawsze był dokumentem, że bezczynność się dlań kończy, że przecież a wspomniano nań. Bem daleki był od zakładania na tym odzewie jakichś spodziewań. Nie widział ich, nie widział żadnych.

Drugim a raczej stanowczym powodem, dla którego pułkownik aż odświętny przyodział uniform, był Krukowiecki. Ex-gubernator tego dnia, od świtu prawie, atakował go ordynansami, gwałtując o przybycie doń na niezmiernie ważną naradę. Bem przez wzgląd na wiek i zasługi generała, przyrzekł stawić się wieczorem. A że dzień był dokuczliwie parny, więc wybrał się wcześniej, aby po drodze wytchnąć nieco w Saskim ogrodzie.

Ale parny, duszny dzień sierpniowy zdawał się czyhać na piękny strój pułkownika. Bo oto zaledwie Bem wszedł na Senatorską ulicę, wielkie krople dżdżu posypały się i pociągnęły za sobą całe upusty. Ulewa bluznęła potokami wody.

Pułkownik, rad nie rad, musiał zrejterować do cukierni Chorota i tu przycupnąć w kąciku przy kuchni i cieszyć się, iż tak gładko udało mu się wykryć wolny stołek, fajkę i kubek zimnego ponczu. W ślad za pułkownikiem bowiem do wypełnionej po brzegi cukierni jęła płynąć fala szukających schronienia przed deszczem. Zgiełk, tumult i wrzawa zapanowała piekielna.

Bem spowił się kłębami dymu i zerkał flegmatycznie ku oknu, na bębniące i pryskające po szybach krople.

Dokoła niego tumult rósł, sypał oderwanymi okrzykami, rozpadał się na części zwarte, to znów łączył w zgodny wrzask — pułkownik nie zważał. Nawet wyrazy takie, jak — „szubienica“ — „precz z Rządem!“ — „Pułaskiego nam trzeba“ — „nie dajmy się wymordować!“ — nie zdołały uwagi Bema zaostrzyć. Tyle się razy nasłuchał podobnych, tak z nimi otrzaskał, że cukierni, kawiarni nie mógłby sobie bez nich wyobrazić. Tak przecież trwało od nocy listopadowej, dlaczegoż miałoby być dziś właśnie inaczej...

Najdokuczliwszem zdało się Bemowi, że pluta nie ustawała, że zamiast ogrodowego tchnienia musiał trwać w dymie i dusznych wyziewach. Bo zresztą najmniej turbował się o wizytę u Krukowieckiego. Przeciwnie, będzie miał grzeczny pozór. Exgubernatorowi rewolucya nowa chodzi po głowie, walka z Rządem, sejmem, całym światem! Załość go zalewa, dręczy, unosi, desperackie nieci pomysły! Demagodzy podbijają generałowi bębenka! Pogrążony korab chcą ratować gwałtownem targnięciem, gdy póty korabia dłużej na powierzchni, póki jedności, wewnętrznego spokoju! Szkoda Krukowieckiego, szkoda człeka. Nominacyę Dembińskiego ma sobie za nowy kamień krzywdy! Pewnie, bardziej należało się dowództwo Krukowieckiemu... a najbardziej należało się temu, który sam, bez oglądania się na wpływy, intrygi, rangi umiałby nim sam zostać...

Zółte światełka zapalonych pająków zaświdrowały natrętnie w źrenicach pułkownika. Bem poruszył się. Tuż przed nim zarysowała się wątła, szara sylwetka ulicznika i mignęła mu białym świstkiem papieru.

— Afisz „Fra Diavola“, wielkie przedstawienie ze śpiewami narodowymi! Czartoryski ze Skrzyneckim na jednej szubienicy! Za pięć groszy!

Pułkownik spojrzał machinalnie ku świstkowi i otrząsnął się gniewnie — afisz teatralny zdobiło dwóch, łatwych do rozeznania wisielców...

— Do teatru obywatele! — zagrzmiała tuż cukiernia. — Tam zbierają się patryoci! — Komu ojczyzna miła, ten do teatru! Naprzód! — Do teatru!!...

Tłum w cukierni zakołysał się i porwał z poza stołów.

Bem poglądał na cisnących się do wyjścia ludzi i tarł niespokojnie czoło. Boć chyba nie zrozumiał, chyba z duszności w głowie mu się zakręciło.

Naraz z rogu cukierni, z pośród dymu wyłoniła się ku pułkownikowi szeroka, rozczerwieniona twarz majora Boskiego.

— Tak, obywatele — dowodził major ochrypłym głosem — Rząd zdrajców osłania! Deputacyę ludu kłamstwami zbył!! Do Redutowych, na teatr, za siekiery brać, na postronki! Ksiądz Pułaski prowadzi! Z nami gwardya! — Do dzieła! Godzina sprawiedliwości wybiła! Za mną, obywatele!

Wiew świeżego powietrza, który poprzez rozwarte na ścieżaj drzwi wpadł do opustoszałej nagle cukierni, orzeźwił pułkownika. Bem podniósł się i zmierzał ku wyjściu, gdy tuż z ponad stolika bocznego dźwignął się ku niemu mundur artyleryi konnej.

Bem spojrzał i uśmiechnął się przyjaźnie, rozeznawszy podporucznika Ilińskiego.

— Waćpan przed deszczem...

— Nie, pułkowniku, jeno przedostać się nie mogę na Królewską do matki... Trzy razy usiłowałem...

— Jakże to... czy ulewa?

— Mrowie ludu zalega pałac Radziwiłłowski a drugie mrowie przed Redutowemi salami nie daje przejścia!

— Coraz więcej rozpasania motłochu.

— Aż strach bierze ogarnąć, co się dzieje...

— Mój podporuczniku, toć prawie codzienny widok! Rwie się wszystko, kruszy nie od dziś!...

— Lecz przed pałacem pięściami Rządowi wygrażali! Na własne oczy widziałem. Jakiś mieszczuch, mówili Brawacki, na lwa kamiennego się wdrapał i wyroki śmierci odczytywał, podczas gdy cała deputacya klubistów z Rządem wprost się wodziła! Podobno ksiądz Pułaski dyktatorem będzie!

— Co waćpan! Toć banialuki krzykackie! I ślamazarstwo gubernatora! Szwadronu, jednej kompanii gwardyi brak! Rezolucyi brak!

— Gwardya, pułkowniku, uciekła z przed pałacu!

— Chyba podporucznik dworujesz sobie!

— Uciekła, między tłum poszła i z nim stawała za jedno. Generał Węgierski wzywał, zaklinał, kazał bębnić na zbór — daremnie.

Bem zatoczył się, jak pijany, ku wyjściu z cukierni i oparł o framugę drzwi. Iliński postąpił za pułkownikiem.

Ulica tonęła w mrokach ponurej nocy. Z obsiąkających dachów chlupotały resztki wody w kałuże pod zrębami domów. Srodkiem ulicy sunęły jakieś gromady ciemne, nawołujące się wrzaskliwie.

— Mają dzisiaj mordować! — ozwał się po przestanku Iliński. — Lęk zdejmuje pomyśleć. Przy matce mej drobne rodzeństwo i troje starych sług — jeżeli rabunek pójdzie... A wszystkiego można się spodziewać! Podobno wojsko nadciąga — ale czy zdąży, panie pułkowniku, czy zdąży?!

Bem głowę pochylił i zagadnął raptownie:

— Czy Orlikowski nocuje w koszarach?

— Nie, kapitan na te dwa dni świąt wyjechał pod Wierzbno. Jabłonowski trzyma komendę za wiadomością sztabu brygady...

— A obsługa?

— Zwyczajnie połowa, bodaj mniejsza część pełni służbę. Na apel niejeden nie wrócił. Kapitan wyrzeka słusznie. Warszawa pod bokiem, ciągnie żołnierzów, dezercya. Z tego postoju więcej zbytku niż po najsroższej potrzebie...

— Na cztery armaty wystarczy?

— Obsługi? — niezawodnie.

Bem dał znak Ilińskiemu, aby szedł za nim. Podporucznik ruszył bez wahania.

Pułkownik jakby ważył coś, jakby zastanawiał się.

— Iliński — mruknął przez zęby — czy aby waćpan nie nadto dałeś się uwieść wrażeniom?

— Wrażeniom?

— Hm — w najlepszej wierze! — Rząd musiał się zabezpieczyć. No tak, nahałasowali mu przed pałacem. I nie pierwszy raz! Ale trudno na zdesperowany lud z bagnetami iść!!...

Podporucznik stracił rezon.

— Mnie się nie wydaje! — ciągnął Bem. — Prawda, licho wiem, co się dzieje. Miałem plany, na krok się nie ruszałem. I Bogu dzięki. Bo tu chyba gorączki można się dopytać.

W głębi ulicy Miodowej zerwał się przeciągły poszmer.

— Idą! — szepnął Iliński.

— Kto — dokąd?! Troi się waćpanu! I dalipan ciemno, że świata nie widać! Latarnicy snać także deliberują dziś nad ojczyzną! Zbierz acan

przytomność. Strachy cię oblatują, jakbyś bitwy w życiu nie probował!

— Cóż, bitwa nie wielka rzecz... a tu...

Iliński urwał. Bem czegoś się zamyślił. Szli tak wlokąc nogę za nogą, nie zważając na pomykające na wsze strony cienie ludzkie.

Naraz jakaś gromada zziajana ogarnęła ich swoim oddechem.

— Do broni, obywatele! — zachrypiał przeraźliwy głos.

— Do broni! — Na Rząd! — Na Rząd! — Ratuj ojczyznę! — podtrzymywały inne głosy.

Ulica w jednej chwili zatrzęsła się od wrzasków, którym coraz pełniej zaczęło wtórować nadchodzące z głębi, od placu Krasińskich, wycie.

Bema oburzenie zdjęło.

— Wieszać arystokratów! — zaskrzeczał mu nad uchem chudy cień.

Pułkownik odwrócił się i porwał go za kołnierz.

— Jak śmiesz, nicponiu!

— Smierć Czartoryskiemu!

— Coś za jeden?!

— Jestem Korytko! A ty jak się ważysz? Do mnie obywatele! Na pomoc! — Szpieg! — szpieg!...

Ku szamocącemu się z Bemem Korytce chlusnęła fala postaci. Lecz Iliński skoczył ku Korytce, oderwał go od pułkownika, pchnął między falę i Bema odciągnął szybko pod mur.

Korytko wołał na swoich, aby zatarasowali ulicę, aby zdrajcę imali, ale ciemń panująca a bardziej jeszcze tłum w oczach rosnący, udaremnił wszelką możliwość poszukiwań. Wreszcie sam Korytko zaniechał napastnika, bo zadowoliwszy się gwałowniejszem obwieszczeniem śmierci arystokratów, ruszył dalej.

Bem stał pod murem, drżący z pasyi bezsilnej. Iliński szeptał coś doń, namawiał do cofnięcia się bokiem ku Marywilowi i przeczekania, na skwerze pod prymasowskim pałacem, wolnego przestworu.

Pułkownik milczał i trwał na miejscu.

Tuż przed nim płynęła teraz zbałwaniona, hucząca ciżba, ocierając się oń i tchnąc przenikliwym zaduchem potu.

Bem poglądał na czarne mrowie, jakby przeniknąć chciał, rozpoznać to bezimienne rojowisko.

Aż naraz z przeciwległego zbocza snop światła trysnął.

— Wiwat „Dziurka"! Niech żyje Kościołowska! — wrzasnęły tłumy! — Górą „Honoratka"! — Na Rząd! — Hurra!...

Pułkownika dreszcz zimny przejął.

Oto między pochodniami, które z kawiarni „Honoratki" i „Dziurki" niemal równocześnie wysypały się na ulicę — ujrzał nietylko drabów z siekierami i oskardami, kołami ale i oficerów i gwardzistów i ichmościów z waszecia i baby o twarzach sekutnic i dziewczyny z gorejącemi oczyma i wyrostków i karabiny i noże i pałki i znajome mu dobrze oblicza.

Oto na czele pochodu, który z kawiarni pod „Dziurką" się wysypał — szła z siekierą mała, sucha, z nastroszonemi, rzadkiemi włosami kobieta... szła słynna na całe miasto Kościołowska. Tuż obok niej, rycząc bez wytchnienia, toczył się Boski major, Małachowski — lampka, Morawski krawiec, co Bemowi wicemundur szył. A dalej, dalej, śród pogłowia, niby ten, co oddział „Dziurki" z oddziałem „Honoratki" kojarzył, szedł Sikorski...

Bemowi zdało się, że śni. Wysunął się, aby lepiej augustowskiego partyzanta rozeznać, gdy tuż tłum odepchnął go razem z Ilińskim i we wnęk aż pod pałac Igelströma wcisnął.

— Panie pułkowniku — upomniał Iliński — trzeba się stąd dobyć — tu niepodobna... Najsnadniejby Kapitulną i Żoliborzem!

— Musimy na ratusz!

— Tam gorzej...

— Musimy! — Do gubernatora! Natychmiast! — Idźmy pod murami! — Zważaj!

Podporucznik chciał odwodzić Bema, lecz ten już się rzucił na przełaj i jął sobie drogę torować. Iliński podążył za Bemem.

Z początku jedynie z największym trudem się posuwano. Gdy nagle tarasująca ulicę ciżba drgnęła i popłynęła ku Senatorskiej.

Bem z Ilińskim ledwie z wysiłkiem oparli się prądowi, rwącemu do Placu Zamkowego i skręcili na prawo ku Marywilowi. Tu jednak runęła na nich wprost inna zawała ludzka, targnęła nimi, zaszamotała i poniosła w ślady za pierwszą.

— Na Zamek! — Smierć zdrajcom! — Wieszać szpiegów! — ryczał tłum rozszalały dokoła Bema.

Pułkownik nie władał sobą.

— Stać do milion!! — Milczeć!

Na to niespodziewane wezwanie najbliżsi Bema zawahali się, stropili.

Iliński chwycił za rękojeść pałasza... Jakaś pięść już dźwignęła się ku pułkownikowi. Gdy niespodziewanie pisnął ktoś z boku.

— Bem z nami! Pułkownik Bem!

— Wiwat pułkownik! — Wiwat lud! — Hurra! Naprzód! — Na zdrajców!

Pułkownik porwał za ramię Ilińskiego.

— Słuchaj — zachrobotał mu do ucha — do bateryi trzeba! Jeden z nas dotrzeć musi i... cztery.... bodaj...



— Afisz „Fra Diavola"! Wielkie przedstawienie!

Bem nie dokończył — ciżba bowiem szarpnęła nim, ramię Ilińskiego wysunęło mu się z ujęcia i znikło w tłumie.

Podczas gdy osamotniony, uwięziony w kleszczach zbitego mrowia pułkownik rwał ku Zamkowi, niby łupina, pędzona nurtem wezbranego potoku, tam pod Zamkiem już łysnęły siekiery i zadzwoniły o wrzeciądze pałasze.

Okna zamkowe wysunęły lufy karabinów.

Plac warknął złowrogo. Siekiery mocniej zadzwoniły.

— Ognia! — huknął ktoś od strony Zamku.

Kilkanaście posłusznych ogników mignęło w oknach, strzały padły w dal nieuchwytną. Tłumy zawyły.

— Mordują lud! — Zabijają nas! — Stój! — Ratuj się!!...

I czarne zawały ludu rzuciły się w tył, jak grzebień spiętrzonego morza przed zrębem skały. Lecz na krótko, bo za grzebieniem tym wyrósł garb potężniejszy, zda się, zawziętszy, uchodzących osadził, pochłonął, wzmocnił i pod Zamek zawrócił.

Była to ciżba z oddziałami „Dziurki" i „Honoratki"...

Siekierom przybyła teraz rezolucya.

— Narodzie! — Smoły! — Słomy!...

— Wiwat! Ramię do ramienia! Spalić łotrów! — Podkurzyć!

Tłum wybuchnął pijanym rechotem, gdy raptem z rechotu przeszedł znów w pomruk... Bo oto od strony pałacyku pod Blachą ukazały się dwie kompanie piechoty ośmnastego pułku i wiedzione przez samego generał-gubernatora, żłobiły sobie drogę do zamkowej bramy.

Tłumy zaalterowały się widocznie taką determinacyą. Lecz bardziej jeszcze od nich zalterował się sam dowódzca, bo nagle o kilkaset kroków od bramy utknął w ciżbie i coś prawić zaczął do ludu.

Tłumy ryknęły. Zawory zadrżały w posadach.

Węgierski obejrzał się po żołnierzach i skinął pałaszem i nacisnął konia. Koń wspiął się, jakaś ręka porwała go za uzdę.

— Ustąp! — wrzasnął generał.

— Stój, na Boga, generale! — odpowiedział mocny głos. — Nie poradzisz! Co zamierzasz!?...

— Co? Kto do pioruna?! Głośniej!

— Bem, do kroćset!

— Pułkownik?!...

Bem podsunął się do siodła Węgierskiego.

— Tu nic nie zdołasz! Trza od Wisły! Armat trzeba...

— Co pułkownik! Wiem, jak należy!

— Palić chcą! Ogień podkładać!

— Idę na to wzmocnić załogę!

— Gdzie, którędy!?...

— Oknami iść nie będę, tylko bramą!

— Niepodobieństwo!

— Idź pan do stu dyabłów!..

— Ocal więźniów, generałów! Od strony Wisły! Mord pójdzie!...

— Tędy wystarczy!

— Daj mi choć, trutniu, jeden pluton żołnierzy!

Węgierski targnął koniem. Bem, nie zważając na generała, wpadł między kompanię.

— Trzeci pluton za mną!

Gromadka żołnierzy, mniemając, że taki rozkaz generała, bez mitręgi ruszyła za pułkownikiem.

Gubernator podczas sapał ze złości na pułkownika a znów wahał się i mierzył pogłowie ludzkie, dzielące go od bramy.

Aż dokoła oddziału Węgierskiego zerwał się istny huragan przekleństw, obelg i gróźb. Szalejącej burzy jakby nowe chmury przybyły z sukursem.

Tłumy czy podsłuchały Bema, czy go przeczuły.

— Wywożą zdrajców! — Szpiedzy uciekają! — Szturmować! — Brać nędzników! — nawoływały chrapliwe głosy.

Rykowi tłumów zawtórowały strzały, idące ku Zamkowi. Zamek milczał.

Węgierski ruszył ku bramie. Ciżba dokoła piechoty zbałwaniła się. Wrzask, gwizd i grad kamieni padł na oddział.

— Hycle! — Rakarze! — Siepacze! — bluzgała tłuszcza.

Bębny zadudniły z pasyą. Piechota szła...

Plac zamkowy na widok idącej ku bramie piechoty, zaskowyczał z wściekłości...

Oto już, już ostatek obywateli wyparli z przed bramy, już ją otoczyli, otwierają teraz, wchodzą do Zamku!

— Naprzód! — warknął plac i runął na bramę, na piechotę, na bagnety...

I znikła w jednej chwili i piechota i gubernator i gwardya, znikli, jak znikają równiny nadbrzeżne, gdy szalejąca powódź zerwie ostatnią groblę...

W oknach Zamku zamigotały pochodnie i błysnęły ostrza...

Tłuszcza parła wciąż jeszcze, jakby chciała własną miazgą mury rozsadzić. — Aż ustała nagle, bo oto plac ryknął z tryumfem i ręce wyciągnął z rozradowania... Z pierwszego piętra Zamku już słaniał się ku tłumom skrwawiony, nagi trup!...

— Bierz go narodzie! — wrzasnął cień na piętrze.

— Wiwat! — Niech żyje Korytko! — Dawać go! Dawać!...

I trup zakołysał się i padł, rzygając gorącą jeszcze krwią generała Jankowskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Popis w strzelaniu.

(Do illustracyi na str. 2 i 3).

Galicyjskie Tow. łowieckie urządza corocznie podczas walnego zgromadzenia swych członków strzelanie popisowe o nagrody. I w tym roku odbył się tego rodzaju popis na strzelnicy wojskowej na Kortumówce we Lwowie. Do sądu konkursowego należeli pp. generał Canić, St. hr. Stadnicki, J. hr. Bielski, J. hr. Tarnowski, St. hr. Szembek, oraz kilku członków wydziału towarzystwa.

Program popisu obejmował strzelanie z pistoletów do tarcz na odległość 25 kroków, strzelanie ze sztućców myśliwskich do tarcz stałych na 80 i 120 kroków, — przez lunety na 300 kroków, dalej do tarcz ruchomych, przedstawiających dzika i lisa, do krążków glinianych, naśladujących lot gołębi, oraz na koniec strzelanie o „mistrzowstwo", w którem udział mogli brać tylko zdobywcy pierwszych nagród; w ostatnim konkursie strzelać można było tylko z trzylufki, a strzelający nie widział, co mu się okaże: lis, dzik, czy krążek w powietrzu.

Popis wypadł zupełnie zadowalniająco, strzelający okazali dużo zręczności i celności, a najlepsze strzały oddali pp. St. Bromilski, E. Münter, rotmistrz Tschapek, J. hr. Drohojowski, a przedewszystkiem Henryk Prek, który prócz innych, zdobył także nagrodę za „mistrzowstwo".

Po popisie rozdzielono piękne nagrody najlepszym strzelcom, następnego dnia zaś odbyło się walne zgromadzenie tow. łowieckiego w salach tow. kredytowego ziemskiego.

Zjazd urzędników skarbowych.

(Do illustracyi na str. 2.)

W Zielone Swiątki odbył się we Lwowie zjazd urzędników skarbowych i podatkowych. Obradowano w sali hotelu „Elite" pod przewodnictwem p. Altenbergera nad sprawą pragmatyki służbowej oraz nad nadchodzącymi wyborami do Rady państwa.

Prócz wielu urzędników skarbowych i podatkowych z całej Galicyi przybył na wiec były poseł dr. Buzek, który w dyskusyi zabrał głos i wyjaśnił stanowisko Koła polskiego w sprawie pragmatyki służbowej, omawiał też projekt rządowy.

Uczestnicy wiecu uchwalili też szereg rezolucyi w obu sprawach, będących na porządku dziennym, poczem wspólnie się fotografowali.

Pomnik Wiktora Emanuela.

Za twórców zjednoczenia Włoch uważa się słusznie Cavoura i Garibaldiego. Pierwszy mistrzowską swą dyplomacyą, drugi odwagą żołnierską i zapałem umożliwili gnębionemu od długich lat narodowi wyzwolenie się z jarzma. Ale nie należy zapominać i o trzecim człowieku, którego wytrwałość i energia



Zmiana w namiestnictwie galicyjskiem: Stanisław Grodzicki, nowy wiceprezydent namiestnictwa.

przybliżyły chwilę zwycięstwa, a który dzięki temu, że zasiadł na tronie zjednoczonego królestwa stał się dla swego narodu niejako symbolem dokonanego z taką chlubą i szczęściem dla Włochów przewrotu. Tym człowiekiem był Wiktor Emanuel II. Wielbi go dotąd Italia i niedawno uczciła pamięć dzielnego władcy wspaniałym pomnikiem na Kapitolu rzymskim. Zaprojektował go rzeźbiarz Chiaradia, który przez cztery lata pracował nad swym pomysłem. Gdy tenże umarł, nie dokończywszy gigantycznego dzieła, dokończył pomnika Gallori, odlewu zaś dokonała fabryka Bastianellego. Uroczyste odsłonięcie odbyło się przed kilku dniami.

Pomnik, przedstawiający Wiktora Emanuela na koniu w nadnaturalnej wielkości, jest znakomitem dziełem sztuki, co przy tych rozmiarach rzadko się zdarza, jak wykazują niczem prócz ogromu nie imponujące pomniki berlińskie. Sama szabla króla waży 350 kg. i ma 4 m. długości. Koń przewyższył trojańskiego, gdyż mógłby pomieścić około 30 osób. Sam tors króla mierzy $2^1/_2$ m., waży zaś 2.100 kg. Płyta bronzowa, służąca posągowi za podstawę, mierzy 92 m. kwadratowe. Koszta wyniosły 25 milionów lirów (t. j. prawie tyleż milionów koron).

Zmiana w namiestnictwie galicyjskiem.

Opróżnione przez zgon ś. p. Włodzimierza hr. Łosia stanowisko wiceprezydenta namiestnictwa objął obecnie radca dworu Stanisław Grodzicki, jeden z młodych ale wysoce uzdolnionych urzędników politycznych.

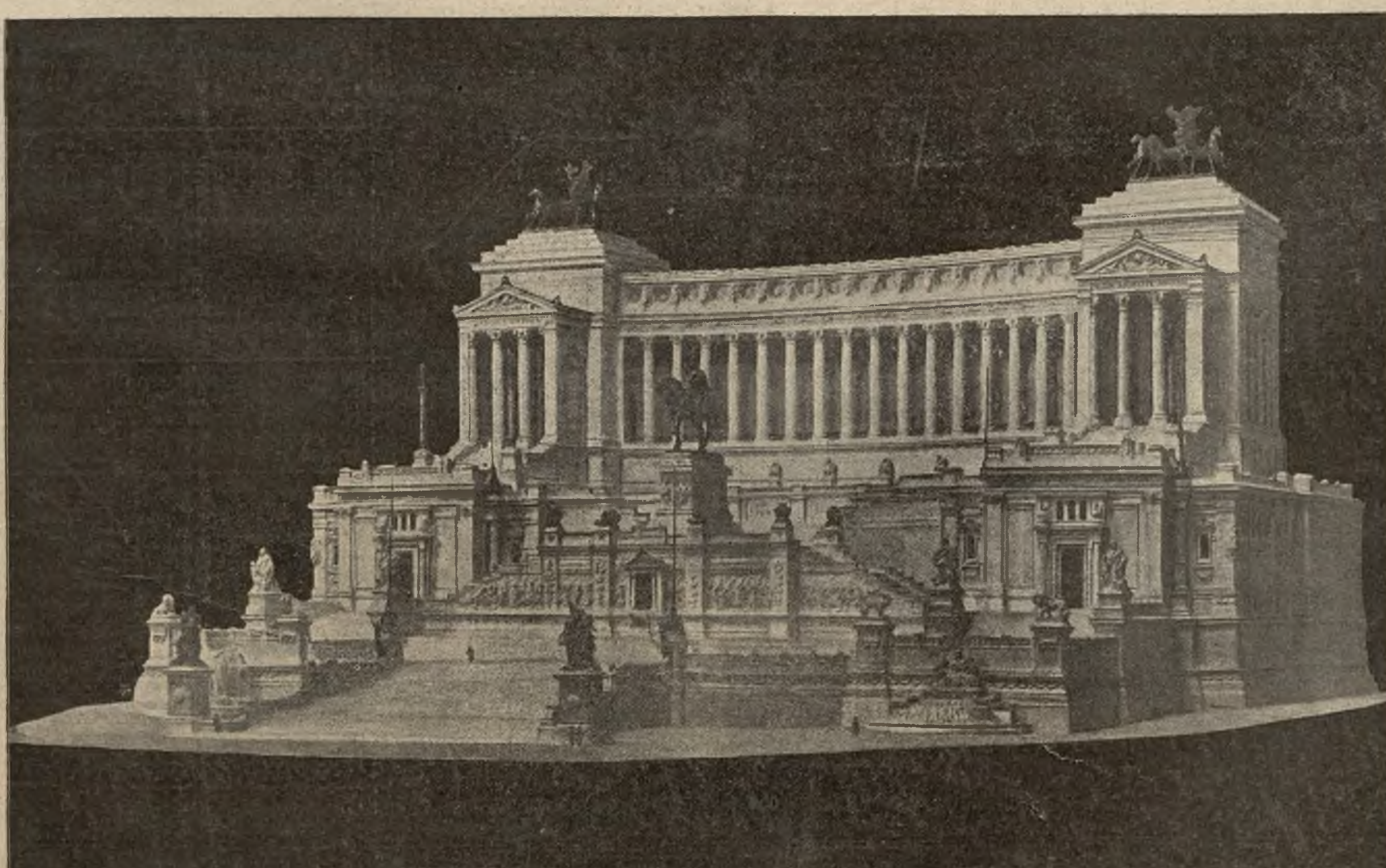
Wiceprezydent Grodzicki, liczący lat 46, rozpoczął służbę polityczną przy starostwie w St. Pölten, pracował następnie w ministerstwie spraw wewnętrznych, skąd przeszedł do namiestnictwa galicyjskiego. Przez dwa lata był starostą w Jarosławiu, poczem 1906 r. powrócił do Lwowa i aż do r. 19 0 prowadził biuro prezydyalne, gdzie miał najwięcej sposobności do okazania niezwykłych zalet umysłu, wielkiego taktu i znajomości stosunków.

Awansował też szybko i został wnet radcą namiestnictwa, następnie radcą dworu, a obecnie zajął stanowisko wiceprezydenta namiestnictwa.

Szybką tę i piękną karyerę zawdzięcza wiceprezydent Grodzicki swemu talentowi administracyjnemu, który pozwalał mu wywiązywać się szczęśliwie ze wszystkich poruczanych mu — nieraz bardzo trudnych — zadań. Zjednał też sobie uznanie przełożonych, mir wśród urzędników politycznych a ogólną sympatyę u tych, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim w sprawach urzędowych.

Ostatnio pełnił p. Grodzicki obowiązki komisarza rządowego w Sejmie.

Nominacya p. Grodzickiego na stanowisko wiceprezydenta nie była niespodzianką. Mówiono o nim jako o przyszłym wiceprezydencie już dawno, gdyż wysokie jego zdolności, duże wykształcenie i sprężystość, znana powszechnie, stanowiły właśnie warunki, jakich się od kandydata na to stanowisko żąda.



Pomnik Wiktora Emanuela: Widok ogólny na całość i tło pomnika (według projektu).

Kronika tygodniowa.

Piszę ostatnią kronikę przed wyborami, od których ma zależeć zbawienie ojczyzny i jakość nowo uchwalić się mających podatków. Po raz ostatni zatem użyję służącego mi prawa wyjaśnienia stanu rzeczy i wskazania wyborcom właściwej drogi do schwytania za kark pomyślności ogólnej. Oczywiście jest to tylko marzenie, aby udało się schwycić to, co dawno od nas uciekło i niewiadomo gdzie się znajduje. Ale bez złudzeń jakże żyć?

Dlatego winniśmy szczerą wdzięczność wszystkim kandydatom, którzy nas łudzą obietnicami. Gdyby ich połowa się ziściła, to kraj nasz byłby najbogatszym, a ludność jego najszczęśliwszą na ziemi. Ujemna strona tych obietnic tkwi w tem, że kandydaci różnią się w zapatrywaniach na to, jakich przewodników obrać należy w drodze do szczęścia mieszkańców Galicyi i Lodomeryi. Jeden kandydat mówi: Już ja to z Bobrzyńskim załatwię, byleby dyabli wzięli Głąbińskiego. Drugi kandydat prawi: polegajcie tylko na mnie i na Jaśku Stapińskim, a pożyczymy gdzie się da i co się da, aby was uszczęśliwić. Trzeci kandydat czyni wszystko zależnem od tego, czy będzie wybrany posłem i czy Głąbiński pozostanie w radzie koronnej. Dla czwartego kandydata niema wątpliwości, że wszystko pójdzie jaknajlepiej, byleby przyszedł do władzy z demokracyą bezprzymiotnikową. Piąty radzi przedewszystkiem wystrzelać stańczyków, wywieszać demokratów wszelkich odcieni, potopić podolaków i ludowców, a potem powierzyć reorganizacyę ustroju państwowego jemu i Daszyńskiemu. Szósty oświadcza: Spuśćcie się tylko na mnie, Bilińskiego, a wnuki wnuków waszych błogosławić mi będą.

Wobec takiej zgodności zapatrywań (nawiasem mówiąc prócz socyalistów wszyscy są za solidarnością), biedny wyborca stoi na rozstajnych drogach i nie wie, komu powierzyć swe losy. Ja sam od miesiąca pukam w palce i niczego się nie dopukałem. Co więcej, ani rusz połapać się nie mogę w kwalifikacyach kandydatów. Mówiono n. p. powszechnie (i sam byłem tego zdania), że kandydat X. jest skończonym niedołęgą, że lepiej słup telegraficzny, niż jego wybrać na posła — a dziś ci sami ludzie, co taką głosili opinię, są członkami komitetu, który popiera X a jako zasłużonego, wytrawnego parlamentarzystę, gorącego rzecznika potrzeb krajowych. Nie powiem, że ci ludzie zgłupieli — chcąc zgłupieć, trzeba być przedtem mądrym — ale albo wówczas, gdy potępiali X-a byli urżnięci, albo dziś, gdy go wychwalają, są porządnie wstawieni.

Kłopot i z tem, że wciąż rośnie liczba kandydatów — z wyjątkiem Krakowa, gdzie się zmniejszyła wskutek zejścia z tego świata „komitetu niezależnych“. Statystyk megalomanii galicyjskiej obliczył, że dotychczas 742 ludzi uznało, iż posiadają warunki na posłów do Rady państwa, z czego zaledwie 2% posiada dostateczną ilość potrzebnego na ten cel oleju. Swiadczą o tem mowy kandydackie, dziwnie szablonowe („w kółko Macieju“), rozwlekłe, wodniste, nudne, stękająco wygłoszone, a obrachowane na to, aby wszystkich zadowolić. Są one zresztą w końcowych ustępach tak bliźniaczo do siebie podobne, że dla wygody przyszłych, mających się dopiero urodzić kandydatów, należałoby może napisać stałe generalne zakończenie. Coś naprzykład w tym rodzaju:

„Panowie! Bolączką naszego społeczeństwa jest drożyzna mieszkań i środków żywności. Nie potrzebuję panów zapewniać, że starać się będę zmusić rząd do podjęcia energicznych środków dla zaradzenia temu stanowi rzeczy. Drożyźnie mieszkań, spowodowanej przez wyzysk kamieniczników, może zaradzić wydatna pomoc państwowa, mogą jej również zapobiedz spółki budowlane. Otwarcie granicy dla przywozu mięsa stało się koniecznością, bo miasta nasze mogą być poprostu ogłodzone, choć z drugiej strony nie wolno zapominać, że otwarcie granic mogłoby się odbić smutnie na ludności wiejskiej, do czego w żaden sposób dopuścić niepodobna. Co do drożyzny mieszkań winienem również zwrócić uwagę, że nie ponoszą tu winy zacni, duchem obywatelskim ożywieni właściciele realności. Jeżeli podwyższają czynsze, czynią to dla dobra lokatorów, bo gdyby mieli z kamienic niewystarczające dla siebie dochody, musieliby zrzucić się z ich własności, a ktoby wówczas wynajmował lokatorom mieszkania?

„Główną przyczyną drożyzny są nieproporcyonalne do zamożności mieszkańców podatki. Całem więc mojem staraniem będzie doprowadzić do obniżenia stopy podatkowej. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że zwiększają się ciężary państwowe, chcąc zaś im podołać potrzeba będzie, choć z bólem serca, nałożyć na ludność nowe podatki. Gdyby nie moloch militaryzmu, który pożera dobrobyt ludności, możnaby łatwo usunąć powody niezadowolenia. Więc też raz należy powiedzieć odważnie, tam gdzie potrzeba: dość tych zbrojeń, dość wyrzucania pieniędzy na nieproduktywne cele! Nie może to jednak zasłonić nam oczu przed niebezpieczeństwem, na jakie byłoby narażone państwo, pozbawione potężnej armii i równie potężnej floty. Nie wolno więc nam, którzy w tem państwie znaleźliśmy uwzględnienie praw naszych, cofnąć się przed żadną ofiarą, potrzebną dla wzmocnienia jego potęgi militarnej. Oprócz militaryzmu gniotą nas w pierwszym rzędzie olbrzymie koszta administracyjne. W ciągu 20 lat ostatnich powiększyła się liczba urzędników państwowych o 15%, a pobory ich wzrosły o 80%. A kto to wszystko płaci, jeżeli nie *misera plebs contribuens*. Raz należy z tem skończyć, a jedynym środkiem ku temu jest powiększenie wydatności pracy urzędniczej. Naturalnie, od kogo żądamy większego wkładu pracy, temu musimy zwiększony trud wynagrodzić. Dlatego też będę zawsze popierał wnioski, dążące do polepszenia bytu materyalnego urzędników.

„Nie potrzebuję chyba panów zapewniać o moich uczuciach narodowych. Natomiast, aby nie było między nami niejasności, winienem zaznaczyć, że jestem wiernym synem Kościoła. Wzmagający się indyferentyzm religijny uważam za zgubny, równie jak nowe, idące z zachodu prądy, podkopujące drogie nam stare wierzenia, gmach świętych tradycyi. Z trwogą też patrzę na wzrost obcych żywiołów, które mimo kilkuwiekowego pobytu na naszej ziemi, stanowią odrębne społeczeństwo, coraz więcej wrogie naszym ideałom. To wewnętrzne niebezpieczeństwo jest groźniejsze, niż się nam wydaje: nietylko lud ność rdzenna z każdym dniem ubożeje, nietylko ziemia przechodzi w obce ręce, ale obca niechrześcijańska etyka wkracza w nasze progi domowe. Trzymajmy się więc oburącz haseł ojców naszych. A jednem z nich była tolerancya w najszerszem znaczeniu. Ta tolerancya każe nam zająć przyjazne stanowisko wobec wszelkich nowych prądów, które burzą przesądy i tradycyjne przeżytki, a są zwiastunami ogarniającego wszechświat postępu. Nie wolno też nam odtrącać nikogo, kto nabył przez wieki prawo do współmieszkania z nami. Więc też nie uważam żydów za obcych, ale za współobywateli, mających prawo do zupełnego równouprawnienia. Nie powinno być żadnych różnic między dziećmi jednego kraju...

„Solidarność Koła polskiego uważam za *conditio sine qua non* bo bez niej nie będziemy posiadali tej siły, która w walce parlamentarnej rozstrzyga o powodzeniu. Oczywiście, solidarność ta nie może krępować poglądów i działalności stronnictwa, do którego mam zaszczyt należeć Nie damy narzucić sobie zdania, nie pozwolimy się majoryzować. Silni jednością, ulegający większości, jeżeli do niej należeć będziemy, a w razie przeciwnym nie ustępujący na krok od naszych przekonań, podniesiemy tak nadwątloną niestety powagę Koła polskiego. Nie żądni władzy, dbać będziemy jedynie o zwycięstwo naszych szczytnych zasad, pamiętając, że zwycięstwo to tylko wówczas będzie zupełne, jeżeli przyjmiemy na siebie ciężar władzy.

„A teraz wzywam was panowie, abyście jak jeden mąż, głosowali za mną, jako za jedynym kandydatem narodowym, który pragnie bez zastrzeżeń poświęcić swe siły dla naszego dobra. Nie wypada mi oceniać moich kontrkandydatów — sama przyzwoitość na to mi nie pozwala — ale z oczów wa szych poznaję, jak ich nisko cenicie, widzę z ust waszych wyrywające się ku nim słowa: do bani!“

Przypuszczam, że przyszli kandydaci skorzystają z powyższej próbki, którą szeroko w różnych kierunkach uzupełnić można. Pożądanem byłoby jednak, aby w tem przemówieniu czynili pewne opuszczenia stosownie do jakości słuchaczy. Ułatwi im to zadanie wprowadzony świeżo zwyczaj zwoływania zebrań zawodowych i wyznaniowych. Ustęp n. p. dobry dla kamieniczników można i należy opuścić na zebraniu lokatorów, żydom nie potrzeba wspominać o przywiązaniu do religii katolickiej, a katolikom o sympatyi do żydów. Cała próbka bez wykreśleń może być wygłoszona tylko na zebraniu ogólnem wszystkich stanów i wyznań, aby każdy w niej znalazł coś takiego, co go po sercu pogłaska i aby nabrał przekonania, że kandydat musiał się wznieść na szczyt bezstronności.

Taką bezstronność, choć innego gatunku, wykazał JE. Biliński i najbezstronniej w świecie zbeształ na zgromadzeniu w Rzeszowie wszystkich prócz siebie. Dostało się zarówno Kołu polskiemu, jak przyjacielowi Stapińskiemu, jak wrogowi Głąbińskiemu. Ale na tym ostatnim ekscellencya Biliński nieraz się potknął. Powiedział, że jakieś indywiduum chciało mu dostarczyć pliku papierów kompromitujących Głąbińskiego w sprawie Wetzlerowskiej, ale on odepchnął tę pokusę, na papiery nawet nie spojrzał, a owego jegomościa odprawił z kwitkiem. Niestety ów jegomość ogłasza wszem wobec i każdemu z osobna, że nie on się zgłaszał do p. Bilińskiego, lecz p. Biliński do niego się zgłosił — ba! wspomina o naradach nad „utrąceniem“ Głąbińskiego, prowadzonych w jego obecności przez ekscellencyę Bilińskiego i nieekscellencyę Stapińskiego; dodaje wreszcie (i to najbardziej nie pachnie), iż ekscellencya Biliński polecił mu oddać te papiery ...posłowi Breiterowi, który, jak wiadomo, wywołał skandal w parlamencie. Aj, aj, jakże to nie pachnie.

Fiasko zupełne przyniosła wreszcie rozgłośna, rozreklamowana sprawa królewiaków, oskarżonych o tajny spisek, który podług doniesień dzienników skich miał wstrząsnąć, jeżeli nie całą Europą, to przynajmniej jej połową. Czego bo tam nie było: rozgałęziona organizacya, kadry armii powstańczej, ćwiczenia bronią, zapasy karabinów i innych narzędzi do rozbijania, były nawet łopaty, przeznaczone do sypania szańców. Nieszczęściem dla wynalazców tego spisku już po pierwszych dochodzeniach trzeba było wypuścić na zupełną wolność około dwudziestu spiskowców. Przed trybunałem stanęło ich tylko sześciu, a rozmiary „zbrodni“ okazały się tak wielkie, że dwóch uwolniono, dwóch skazano na miesiąc, a dwu na 14 dni aresztu. A i ci skazani może się jeszcze wywiną, bo obrońca odwołał się do wyższej instancyi. Owe nominacye na jenerałów były zabawką młodego fantasty, próbującego swych sił powieściopisarskich; ów nieszczęsny karabin niesłusznie zabłąkał się do sprawy, bo był kiedyindziej i komu innemu skonfiskowany; z pak dynamitu pozostały kapsle dynamitowe, nader niewinne i łagodne. O co więc był taki hałas, na co były owe wielkie paroszpaltowe artykuły strachajłów dziennikarskich, owe telegramy roznoszące trwożliwe wieści o strasznym spisku, owe masowe rewizye i aresztowania? Zbytek gorliwości ośmieszył doszczętnie gorliwców...

Walka z alkoholizmem.

(Do illustracyi na str. 3.)

W kraju naszym coraz szersze zatacza kręgi agitacya przeciw używaniu a zwłaszcza nadużywaniu alkoholu, przeciw tej strasznej klęsce, która

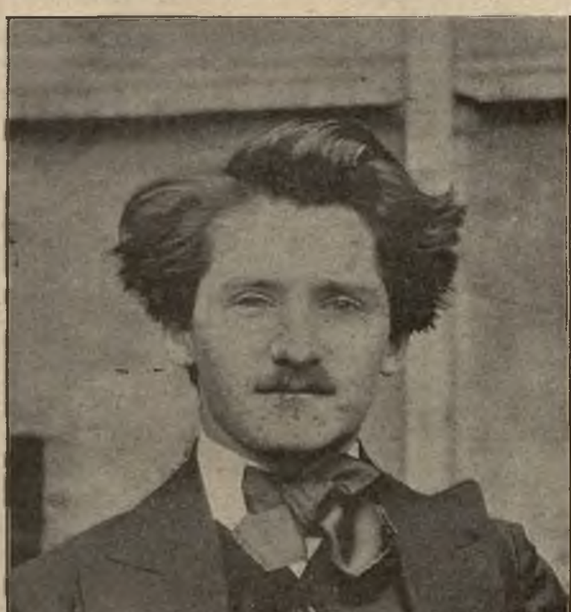


Opera lwowska w Krakowie: Kapelmistrz Antoni Ribera.

prześladuje zwłaszcza niższe sfery społeczeństwa naszego.

Hasło, pod którem zawiązała się przed paru laty „Eleuterya“, hasło abstynencyi od napojów wyskokowych, zwolna ale skutecznie się popularyzuje i toruje sobie drogę nietylko w miastach, ale i po wsiach galicyjskich.

Dowodem żywotności akcyi antialkoholicznej i rozwoju organizacyi abstynenckich, był właśnie zjazd „Eleuterzystów“, urządzony w czasie Zielonych Świątek we Lwowie.



Opera lwowska w Krakowie: Kapelmistrz Bron Wolfsthal.

Brak miejsca nie pozwala nam wdawać się w szersze omówienie szczegółów obrad zjazdu — oraz uchwalonych tam rezolucyi.

Ograniczamy się więc na podaniu grupy fotograficznej uczestników zjazdu, załączając dla organizacyi abstynenckich życzenie jak najpomyślniejszych wyników w ciężkiej i trudnej, ale szlachetnej pracy nad odrodzeniem narodu.

Nowy prezes wiedeńskiej Akademii Umiejętności.

Wiedeńska Akademia Umiejętności obchodziła w dniu 31. maja b. r. uroczystość pożegnania swego dotychczasowego prezesa, profesora dra Suessa, który z powodu podeszłego wieku musiał ustąpić z zajmowanego dotąd z takim pożytkiem dla rozwoju nauki stanowiska. Badacz pierwszorzędnego znaczenia poświęcał on umiłowanej przez się instytucyi każdą wolną chwilę, a rozkwit, w jakim się obecnie znajduje, zawdzięcza Akademia głównie jemu i troskliwemu kuratorowi, arcyksięciu Rainerowi.

Profesor Suess, urodzony w Londynie w roku 1831, pełnił od roku 1857 do 1901 obowiązki profesora geologii i paleologii na uniwersytecie wiedeńskim. Przez ten czas dał się poznać jako wytrawny uczony, sumienny i niestrudzony badacz, wkrótce też powołano go w skład członków Akademii, do której należy przeszło od lat pięćdziesięciu, od roku zaś 1898, to jest od chwili ustąpienia znakomitego historyka Alfreda Arnetha kieruje nią ku ogólnemu zadowoleniu.

Z okazyi ustąpienia wystosował też cesarz Franciszek Józef I. do niego pismo odręczne, podnosząc zasługi położone dla kraju i państwa i wskazując, ile Akademia zawdzięcza ustępującemu swemu prezesowi, którego nazwisko znane jest w całym uczonym świecie i nierozdzielnie związane z instytucyą.

Następcą profesora Suessa wybrano byłego ministra skarbu i znanego ekonomistę doktora Eugeniusza Böhm-Bawerka. Jest to mąż jeszcze w sile wieku, liczy bowiem niespełna sześćdziesiąt lat, a w sferach naukowych cieszy się sławą znakomitego znawcy polityki finansowej i stosunków ekonomicznych i to tak pod względem teoretycznym, jak i praktycznym, czego dał dowód w czasie swej działalności naukowej, za którą go obdarzono honorową odznaką *litteris et artibis*, jak również i podczas kierowania austryackimi finansami.



Opera lwowska w Krakowie: Jadwiga Lachowska, jako „Carmen“.

Opera lwowska w Krakowie.

Na dwa miesiące zawitała do Krakowa, jak zwykle o tej porze, opera i operetka lwowska, ku wielkiej radości wszystkich szczerych miłośników dobrej muzyki. Doskonały ansambl i interesujący repertuar zapowiadają nam dużo miłych wieczorów w teatrze, to też można się spodziewać, iż i powodzenie będzie towarzyszyć tegorocznemu sezonowi operowemu.

Po raz pierwszy bawi w Krakowie z operą lwowską znany zaszczytnie kapelmistrz Antoni Ribera, wytrawny znawca muzyki Wagnerowskiej i wogóle muzyki współczesnej, ceniony nietylko u nas ale i zagranicą.

P. Ribera, urodzony i wychowany w Hiszpanii, poświęcił się w młodym wieku karyerze artystycznej. Jako kapelmistrz zdobył sobie we Lwowie ogólne uznanie i sympatyę zarówno krytyki jak publiczności. Prawdziwie południowy temperament i niepospolity talent łączy się u p. Ribery z wielką wiedzą muzyczną i wytrawnem znawstwem.

Dłuższy pobyt i praca p. Ribery w Bayreucie, w tem centrum kultu Wagnerowskiego, pozwoliły mu zaznajomić się jaknajdokładniej z właściwościami stylu genialnego muzyka, co następnie odbiło się bardzo korzystnie na poziomie artystycznym przedstawień dzieł Wagnerowskich na scenie teatru lwowskiego.

Wogóle kwalifikacye p. Ribery są bardzo wysokie a jego współudział w sezonie letnim rokują mu tem większe powodzenie.

Obok p. Ribery pracować będzie jako kapelmistrz opery p. Bronisław Wolfsthal, znany już publiczności krakowskiej z poprzednich sezonów.

Syn i uczeń znanego ogólnie wirtuoza i pedagoga prof. Maurycego Wolfsthala, odziedziczył po nim i talent i zamiłowanie muzyki, w młodym też wieku poświęcił się karyerze artystycznej.

P. Wolfsthal znany jest i jako doskonały, energiczny, ogromnie inteligentny kapelmistrz i jako utalentowany kompozytor.

Współdziałać z nimi będzie w charakterze reżysera ceniony śpiewak, baryton opery lwowskiej, p. Adam Okoński. — Publiczność krakowska zna tego sympatycznego śpiewaka od lat wielu i ceniła go zawsze za piękny, dźwięczny głos, za doskonałe, ogromnie sumienne opracowanie każdej roli.

W gronie artystycznem opery lwowskiej zmiany są nieznaczne. Większa część ansamblu, to sami dawni, a tak sympatyczni znajomi.

Jedna z najwybitniejszych z nich — to Jadwiga Lachowska, idealna „Carmen“, która wprost z Warszawy przybyła do Krakowa, po kilku występach gościnnych, uwieńczonych olbrzymimi sukcesami. Istotnie też p. Lachowska zrobiła w ciągu ostatniego roku tak ogromne postępy, zarówno pod względem wokalnym jak scenicznym, że śmiało jej można rokować bardzo wielką i piękną przyszłość, zwłaszcza wobec młodego wieku sympatycznej śpiewaczki.



Opera lwowska w Krakowie: Adam Okoński, reżyser.

W Krakowie kreowała dotąd p. Lachowska niezrównaną „Carmen“ i Suzuki w „Madame Butterfly“, a w najbliższym czasie wystąpi w roli „Mignon“.

Echa jubileuszu Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń.

Z dawien dawna cieszy się krakowski „Grand Hotel“ oraz jego znakomita, wytworna restauracya najlepszą opinią w naszem mieście, to też najwybitniejsze osobistości, odwiedzające Kraków, stale w tym hotelu szukają pomieszczenia, a restauracyi „Grand Hotelu“ powierza się urządzanie najelegantszych rautów i przyjęć.



Echa jubileuszu Tow. Wzajemnych Ubezpieczeń: Wspaniale zastawiony stół bufetowy restauracyi „Grand Hotelu“ w sali „Floryanki“ w dniu rautu jubileuszowego.

„Grand Hotel“, mieszczący się w samem śródmieściu, przy ul. Sławkowskiej, urządzony jest z ogromnym komfortem i wszelkiemi wygodami, choć pod względem cen nie różni się prawie od drugo- i trzeciorzędnych hoteli krakowskich. Wśród wspaniałych salonów hotelu tego wyróżniają się zwłaszcza komfortem: sala marmurowa i salon w stylu Ludwika XV.

Sala restauracyjna i kawiarnia „Grand Hotelu“ znane są w Krakowie powszechnie, tam bowiem gromadzi się codziennie najwytworniejsze towarzystwo. Doskonałe, smaczne potrawy, wyborne trunki i pilna, rzetelna usługa wyrobiły tej restauracyi zasłużony rozgłos.

A także występy restauracyi „Grand Hotelu“ na rautach i przyjęciach, urządzanych w innych salach, wieńczy zawsze niezawodne powodzenie. Zasługa to zarówno właściciela „Grand Hotelu“ p. Chronowskiego, jak szefa kuchni, Jana Czarneckiego, mistrza sztuki kulinarnej, kształconego w tym kierunku za granicą.

Pamiętny jest n. p. raut, urządzony przez restauracyę „Grand Hotelu“ na jubileusz Wszechnicy Jagiellońskiej, raut, który zgromadził najwybitniejsze osobistości; to samo powodzenie miał wielki raut grunwaldzki w Sukiennicach, zastawiony dla kilku tysięcy osób.

Ostatnio wystąpiła restauracya „Grand Hotelu“ z okazyi jubileuszu krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Raut na 500 osób, urządzony w salach towarzystwa przy ul. Basztowej, zjednał ogólne uznanie zarówno dla smacznych potraw i przekąsek, jak dla przepysznych trunków. Znakomite wódki, przepyszne kanapki, dalej szereg zimnych potraw, podanych nadzwyczaj apetytnie, wina najlepszej jakości, wszystko to zapewniło nowy rozgłos wyśmienitej restauracyi „Grand Hotelu“. Duży stół w głównej sali imponował nadto prawdziwie artystyczną zastawą.

Wogóle tam, gdzie chodzi o „pokazanie się“, o zaimponowanie wystawnością, ale przytem i prawdziwie dobrą kuchnią, tam restauracya „Grand Hotelu“ najlepiej zawsze wywiąże się z zadania.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Logogryf:

M
L i n
T ę e z a
A h a
P o m a d k a
A c h i l l e i s
R u b i k o n
O k o
B o y
E w a
K a b a r e t
K o l e j a r z e
K a m a s z e
E m a
a

Figielek literacki: Artur Oppman.

Zadanie do przestawienia: Od przybytku głowa nie boli.

Łamigłówka:

Pan
Ara
Nil
Nie
Aga
Mak
Ali
Lis
Iza
Coś
Zet
Ewa
Wal
San
Kit
Ach

Szarada: Opieka.

Zadanie na rozsypane litery: Przy zdechłym lwie i mucha udaje zucha.

Zadanie do przestawienia: Chybi koń, trafi kulbaka.

Szarada: Powaga.

Zadanie do przestawienia: Każdy sądzi według siebie.

Kwadrat magiczny:

A r f a
R a a b
F a r a
A b a s

Szarada: Polka.

Zadanie do przestawienia: Lekarz sam siebie nie uleczy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Sadowski Kołomyja, K. Radoszewski Mielec, J Ryś Rzeszow, K. Darowski Piotrków, M. Kalinowska Płock, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, O. Górkowa Chyrów, J Leszczyński Sanok. S. Kaniewski Tarnobrzeg, M. Potocka Kraków, K. Wilczkiewicz Sandomierz, W Radwański Warszawa, D Sedyńska Kraków, J. Łopatkiewicz Kraków, W Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Pick Łódź, W Thun Płock, W. Kaliszewski Petersburg, S. Bukowski Kijów, K Cegielski Jasło, I. Brzostowski Krosno, M. Wojkowski Tarnopol, M Wacławowicz Sanok, M Więckowska Warszawa, J. Czernecki Złoczów, K Laurecki Lwów, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, J. Krysakowski Lwów, K. Gliński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol, J. Jakubowska Tarnów, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Lipowski Jasło, H Gromnicka Lwów, J. Sapecki Poznań, S. Krzyżanowski Podgórze, W. Swirski Sandomierz, J. Kwaśniewski Przemyśl, R. Bandrowski Częstochowa, J. Przeworski Toruń, M. Ciesielski Poznań, K Lisowski Kołołomyja, S Ostrowski Tarnów, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Tarnopol, J. Michalski Jaworów, K. Schmidt Lwów, J. Lemiszewski Stanisławów, H Rosenbaum Mielec, K Armatys Sambor, M. Kruszelnicka Tarnów, J. Czarkowski Stryj, M. Klapholz Rzeszów, K. Ciszewski Radomyśl, K Zerygiewicz Stanisławów, J. Wyka Rzeszów, K. Zachara Mielec, H. Rosenbaum Sanok, J Trojacki Wiedeń, W. Urban Lwów, F Jeziorski Oświęcim, F. Horak Lwów, T. Nikiel Wiedeń, M. Bałok Krosno, J. Jahoda Cieszyn, F Piątek Podwołoczyska, J. Piasecki Złoczów, K. Broda Drohobycz, A. Serwatowska Warszawa, J Łopatyński Lwów, H Zielińska Rzeszów, M. Sontag Piotrków, K. Sadowska Kraków, M. Malinowska Winnica, J Bernstein Warszawa, W. Hołubasz Stanisławów, K. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, W. Obraczay Cieszyn, M Moszyński Lwów, J. Stepień Budapeszt, J. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, H. Bielawska Sambor, J Popiel Rzeszów, K. Wodziński Kraków, K. Fuchs Czeremchów, M. Stolarski Kraków, F Frankowicz Zakopane, L. Karwowski Poznań, M. Woźniakowska Radom, S. Darowska Zakopane.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Trojacki Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WPani Premecka, Przemyśl: Jedną szaradę umieścimy, druga się nie nadaje.

WP. S. Lipiński, Kazimierz nad Wisłą: Co do wzmianki iż w nrze 16 przydarzył nam się lapsus, gdyż donieśliśmy o śmierci metropolity mohylewskiego ks. Kluczyńskiego to WPan jest w błędzie Podaliśmy tylko według zwyczaju tytuł artykuliku, do którego illustracya się odnosi, a portret Jego Ekscelencyi, jako domniemanego kandydata na opróżnioną po śmierci ś. p. biskupa Niedziałkowskiego katedrę łucko-żytomierską

Nadesłane nam uprzejmie zadania konikowe umieścimy, o ile nie staną na przeszkodzie trudności natury technicznej, rozmiarami bowiem nie odpowiadają łamom naszego pisma.

Głosy publiczne.

Wystawa balneologiczna urządzona przez Polskie Towarzystwo Balneologiczne, odbędzie się nieodwołalnie podczas XI Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, w czasie od 18 do 31 lipca b. r. Dzięki życzliwości JWPana prezydenta miasta Krakowa, Dra Juliusza Leo, Świetnej Kuratoryi Akademii handlowej, a osobliwie dyrektora tejże p. Kannenberga, uzyskał Komitet jeden z najokazalszych gmachów Krakowa, mianowicie Akademię handlową (Straszewskiego 29), świetnie nadającą się do powyższego celu. Stylowy westibul, okazała klatka schodowa, szerokie kurytarze, duże i widne sale tego gmachu, pozwolą celowo rozwinąć akcyę Komitetu, dążącą do podniesienia i zareklamowania krajowego zdrojownictwa i przedstawienia całego bogactwa dotychczas niedocenianego naszego przemysłu zdrojowego. — Na wystawę powyższą przesyłać można:

1) Plany i fotografie Zakładów zdrojowych, uzdrowisk i lecznic.
2) Plakaty i widokówki ze zdrojowisk i Zakładów.
3) Przekroje geologiczne.
4) Przekroje ujęcia źródeł.
5) Próbki wód mineralnych.
6) Próbki soli, borowiny, mułów, wyciągów i t. d.
7) Modele lub fotografie wanien, kotłów i urządzeń technicznych.
8) Modele lub fotografie przyrządów leczniczych, używanych do elektroterapii, mechanoterapii, gimnastyki i t. d.

9) Mapy graficzne.
10) Dane statystyczne (frekwencya, ilość kąpieli mineralnych i hydropatycznych, ilość wysłanych wód i przetworów).
11) Bibliografię (prace, broszury, prospekta).
12) Wzory przemysłu, a zwłaszcza odnoszące się do zdrojownictwa krajowego i urządzeń Zakładów.
13) Zbiory, dotyczące miejscowej fauny i flory i t. d.

Ceny miejsc dla wystawców:

1 m² ściany razem z 1 m² stołu . . . . . K 25·—
1 m² ściany z przylegającym 1 m² podłogi . „ 20·—
1 m² podłogi w środku . . . . „ 20·—
Cała sala bez urządzenia . . . . „ 150·—

Uwaga: Uprasza się Szan. P. T. Wystawców o podanie powierzchni żądanej przez nich płaszczyzny: na ścianie, na podłodze, na stołach, na sztalugach.

Adres: Biuro Wystawy balneologicznej — Kraków, Batorego 1 (parter), Tel. 2112

Komitet wydawać będzie honorowe odznaczenia i dyplomy.

Ze świata kobiecego.

Toalety ślubne.

Trudno byłoby dojść pochodzenia przesądu, że maj jest miesiącem nieszczęśliwym dla zawierania małżeństw. Zdawałoby się, że nie zgadza się to z logiką: miesiąc Maryi, miesiąc poetów, bzów i słowików, rozśpiewany i rozmarzony, zdaje się aż prosić, by upojenie, jakie sączy wówczas cała natura, wdychane zlekka przez pary zaręczone, a obserwowane argusowemi oczami „starszych“, wysysane ukradkiem przez zakochanych, a nieupoważnionych przez Kościół i prawo do zabrania miejsca przy stole miłości, zostało spisane z całą siłą i potęgą przez tych, co stawiają pierwsze kroki ręka w rękę, serce przy sercu, równie szczęśliwi jak dumni z tego, że są razem.



Suknia ślubna z białej *charmeuse*, rozstawiona u dołu haftem *Richelieu* na pół metra szerokim, przybrana kwiatem pomarańczowym, woal z iluzyi.

A jednakże jest całkiem inaczej; zaledwie mała cząstka nieprzesądnych rozpoczyna miodowe miesiące w maju. Natomiast od pierwszego czerwca aż się roi po miastach od ślubnych orszaków tak w karetach, jak dorożkach.

Wobec tego, że znaczna część czytelniczek ma w sperandzie jakieś wesele w niedługim czasie, warto zastanowić się nad tem, co i na jakie śluby się wkłada.

Więc przedewszystkiem toaleta panny młodej. Najmodniejszą, a zarazem najpiękniejszą dla „oblubienicy“ jest suknia złożona przedewszystkiem z obcisłego „szkicu“ z miękkiego atłasu, na który spływa tunika z koronki, gazy, lub jedwabnego muślinu, obszyta ciężkim haftem, który lekką tunikę obciąga i dodaje wspaniałości toalecie. Na taką obcisłą szatę z atłasu narzucają też często od wysokiego stanu rodzaj dworskiego płaszcza z wolantu koronkowego. Szeroki kołnierz koronkowy dopełnia całości.

Młodziutkie panny młode nie wkładają tak bogatych sukien. Dla tych tunika bywa zazwyczaj z jedwabnego muślinu, a haft zastąpiony lampasem z miękkiego atłasu; ledwie przy chusteczce Marie-Antoinette jest piękna koronka, byle nie szeroka.

Majestatyczny tren utrzymuje się przy toalecie ślubnej poprzez wszystkie mody i czasy; mogą być kwadratowe, okrągłe lub szpiczaste, zależnie od całości sylwety, ale zawsze długie i odpowiednio przyciążone, by nie zwijały się, lecz płynęły za postacią.

Welony robią się z iluzyi, tiulu lub gazy. Najwykwintniejsza jednak i najbardziej korzystna dla twarzy, będzie zawsze iluzya. Woal koronkowy nie może spływać na twarz, upięty zaś nad czołem i spływający na tył postaci, stosowany być może jedynie przez kobiety o wyjątkowo regularnych rysach. Kobiety nie pierwszej młodości stanowczo nie powinny się kusić o takie upinanie welonu. Zanim panna młoda zdecyduje się na rodzaj welonu, powinna przekonać się, jaki efekt wywoływać on będzie przy całości. Przy atłasie, *liberty* i muślinie jedwabnym zapewne iluzya będzie najpiękniejszą; jeśli którą jednak pannę młodą stać na toaletę z koronek, to i welon z cienkiej koronki jest najodpowiedniejszym. W braku tego, gaza z odcieniem *ivoire* jest właściwsza.

Kwiat pomarańczowy, dawniej mający przy mircie prawo wyłączności, zostaje coraz częściej zastępowany innymi białymi kwiatami: lilie, azalie, jaśmin coraz częściej pojawiają się przy toaletach ślubnych. W Paryżu z pierwszorzędnych magazynów wyszły już suknie dla oblubienic przybrane girlandami kwiatu wiśni, gruszy, a nawet jabłoni z odcieniem różowym.

Gdy panna młoda, zrywając z tradycyą, chce wystąpić w toalecie spacerowej, ma szerokie pole zastosowania swej pomysłowości. W każdym razie zastosowanie w tym wypadku toalety kolorowej, jest bezwarunkowo przesadą. Kostyum, lub suknia biała jest czemś tak ładnem, że powinna być zawsze wśród garderoby kobiecej, czemu więc nie zastosować jej przedewszystkiem w dzień ślubu? Stosownie więc do widoków przyszłego stosowania kostyumu sprawionego do ślubu, może on być szewiotowy, sukienny, pikowy lub płócienny. Bardzo stosownem do kostyumów z płótna i piki jest wyszywanie sutażem białym. Podnosi to strój, czyniąc go poważniejszym i bogatszym. Kostyumy te nie mogą być powłóczystymi, przeciwnie, gdy zrobione są z sukna lub szewiotu, zyskują wiele przy zakończeniu trenem.

Kapelusz przy ślubnej toalecie najstosowniejszy jest z białej *tengali*, podniesionej aplikacyą lub piękną koronką. Przystraja się piórami, iluzyą lub białymi kwiatami.

Przecudną toaletę ślubną miała hrabianka P., którą mogliśmy podziwiać w kwietniu. Biały sukienny kostyum z powłoką, żakiecik *directoire* z krótkim stanem, wyszycie z błyszczącego sznura, kapelusz z białej *tengali*, formy Rembrandt, ozdobiony jedyną pleureusą blisko metrowej długości; przytrzymana z lewej egretą z pereł, z prawej spadała aż na ramię powiewną kaskadą około jasnej twarzyczki.

Pantofelki ślubne stosownie do materyału sukni robi się ze skóry błyszczącej lub zamszowej.

Pończoszki, niemodne dziś ażurowe, zastępowane są natomiast jedwabnemi, tak cienkiemi, że jak mgła obciągają nóżkę.

Jak we wszystkiem, tak i przy toalecie ślubnej najważniejszem jest dostosowanie fasonu do postaci, szczegółów do całości. Niczego nie zaniedbać, nic nie zlekceważyć, a całość musi być zachwycająca. Toaleta ślubna za wiele ma w sobie pierwiastków erotycznych, aby nie była piękna nawet przy małym nakładzie.

Ramo...



Suknia z orszaku weselnego. Szkic obcisły z atłasu *vieil or*, objęty u dołu felpą *olive*, tiunika ze złotej gazy, przybrana haftem ze złota, pereł i jedwabiu w tonach od blado-zielonego do *olive*. Górna część stanika pokryta haftem z pereł i złota. Tiunika zakończona żołędzią i chwastem z pereł na złotym sznurze

PARYSKIE GADY.

61

Przerażenie paraliżowało wszystkie ruchy nędznika. Odważny był wobec śmierci, lecz nie wobec skandalu, obecnie nieuniknionego. A przytem to niespodziane i tajemnicze najście katów mogło go strachem przejąć... Jak oni tu weszli?...

Czy zabiją go w ciemności?

Nagle zajaśniała lampa.

Maksym Duret ujrzał przy guziku od elektryczności jakiegoś człowieka, a przy nim drugiego, który trzymał szczypce stalowe. Byli oni w czarnych maskach i czarno ubrani.

Przez długą chwilę obie postacie stały nieruchomo z oczami utkwionemi w prezesa, który patrzył na nie, nie czyniąc żadnego ruchu, nie mówiąc jednego słowa. Potem cofnęły się one ku drzwiom.

Jeden z nich zaczepił się o dywan na podłodze i stracił równowagę. Upadł na kolana a towarzysz podtrzymywał go.

— Przepraszamy... Łaski...

Słowa te, wymówione przez tajemniczych gości, tłumione były przez maski na ich twarzach.

— Niech pan nie woła... Pozwoli nam odejść... Nic panu nie zrobimy...

Mówił to człowiek, który stał. Drugi podnosił się i dodał:

— Tak... Nic panu nie zrobimy... Ale bez krzyku!...

Maksym Duret nie poznawał tu głosu ani Maixenta ani żadnego z jego przyjaciół. Nie mógł też zrozumieć, czego od niego żądają.

— Kto panowie jesteście?... Czego chcecie? — zapytał wreszcie pocichu ostrym tonem.

Przybyli zdjęli maski. Byli oni tak bladzi, jak i prezes.

— Ja już panów gdzieś widziałem — mówił dalej nędznik. — Czy nie w expressie?...

Były to twarze tych dwóch eleganckich panów o minie poważnej i nadzwyczaj wyniosłej, których można było wziąć za dyplomatów lub milionerów.

Zewnętrzna postać pasażerów pociągów luksusowych może często być bardzo omylna. Nocni goście prezesa nie odgrywali żadnej roli na giełdach europejskich. Nazwiska ich więcej były znane na quai d'Orfèvres niż na quai d'Orsay. Nazywali się Wiliam Palmer i Fred Burley, urodzeni w Londynie i zajmowali się tak na kontynencie, jak i na swej wyspie chloroformowaniem. Policya wszystkich części świata nieraz już miała z nimi do czynienia. Dla odwagi swej i zręczności zajmowali w swym zawodzie miejsce zaraz po Panajonie, który wiedział o nich i oddawał winny hołd ich zaletom.

Obydwom opryszkom udało się w drodze skraść portfel jednemu z pasażerów, poczem wysiedli oni w Hendaye, by następnego dnia wrócić znowu expressem do Paryża. Na noc udali się do Grand Hotelu. Ponieważ jednak pluskwy przeszkadzały im spać, postanowili zająć się lokatorem sąsiedniego pokoju, by w ten sposób spędzić noc przyjemnie i korzystnie. Gdy chłopiec słał łóżko sąsiada, skrzypnęło ono i z tego poznali, w którem miejscu stoi. W ścianie wykręcili też zaraz małą dziurkę, która powinna była się znajdować akurat nad głową śpiącego. W otwór ten wsadzili koniec rozpylacza chloroformowego i nacisnęli piston. Wtedy właśnie Maksym Duret poczuł jakiś odór, którego nie mógł dokładnie rozpoznać. Ponieważ jednak nie leżał na łóżku, lecz siedział pośrodku pokoju, narkotyk ten nie mógł wywrzeć swego skutku.

Gdy w chwilę potem obydwaj złoczyńcy otworzyli drzwi zapomocą „oustiti" i weszli do środka, ten, który miał spać, czuwał w najlepsze.

Po omacku poszukali guzika od elektryczności i zaświecili lampę, by zrewidować ubranie i bagaż swego sąsiada. Przerazili się też bardzo, gdy ujrzeli puste łóżko i tego starca w czarnem ubraniu, który siedział nieruchomy, milczący w swym fotelu i patrzył na nich. Palmer i Burley zdumieni, osłupiali, przerażeni, nie śmieli zrobić żadnego ruchu. Potem, cofając się, chcieli wymknąć się, gdy jeden z nich potknął się i upadł. Teraz z odkrytemi twarzami prosili o łaskę po raz pierwszy w swem życiu.

Maksym Duret zaczął się wreszcie domyślać wszystkiego.

Złoczyńcy jednak nic nie rozumieli. I często jeszcze potem dziwili się, kto był ten dziwny człowiek z miną wyższego urzędnika, który noc spędzał, siedząc pośrodku pokoju i nie wołał na pomoc, ani nie rzekł głośniej jednego słowa, gdy włamywali się do niego.

Prezes przypomniał sobie odór, który poczuł poprzednio. Znał się dobrze na wszelkiego rodzaju praktykach złodziejskich i poznał teraz, kim są jego goście.

— Chcieli mnie panowie zachloroformować — rzekł.

— Nie... Wcale nie — zaprzeczał Wiliam Palmer, ale bez przekonania.

— Widoczne to jest... Nie potrzebowałbym długo szukać, by znaleźć koło mego łóżka otwór, przez który sączyli panowie swój narkotyk...

— Proszę pana... szepnął Fred Burley — już nigdy tego nie będziemy robili...

Nie wiedział sam, co mówi. Był bardziej przerażony od swego kolegi. On to właśnie się potknął.

— Dobrze! — rzekł Maksym Duret. — A teraz niech mnie panowie zostawią w spokoju! Proszę wyjść... A zresztą nie! Jeszcze słowo!

Złodzieje, którzy już stali przy drzwiach, zatrzymali się.

— Nie mam z sobą żadnej torby podróżnej — mówił dalej prezes — i kieszenie moje są prawie puste... Jeżeliby nawet udało się panom uśpić mnie, to i łup wasz byłby bardzo mały. W hotelu tym jednak jest kilka osób, lepiej zaopatrzonych w gotówkę, niż ja.

Słowa te w każdym innym wypadku zastanowiłyby Palmera i Burleya. Obecnie jednak byli tak jeszcze przestraszeni, iż myśleli tylko o ucieczce.

— Jedna nawet z tych osób — ciągnął Maksym Duret — jest miliarderem...

Zdanie to wywarło teraz pewne wrażenie.

— Miliarder? — nie mogli powstrzymać się mimo przestrachu od powtórzenia Palmer i Burley.

— Tak... Daleko więc jest korzystniejszem dla panów zająć się mymi sąsiadami, niż mną...

Zdumienie chloroformistów dochodziło punktu kulminacyjnego.

— By panów przekonać, że moje wskazówki są prawdziwe — dodał prezes — powiem, dlaczego je daję... Sąsiedzi ci są moimi nieprzyjaciółmi... Rozumieją też panowie teraz, dlaczego nie pogniewałbym się, gdyby zostali uśpieni waszym chloroformem... a nawet gdyby ich sen został przydłużony przy pomocy sztyletu...

Palmer i Burley słuchali tego z szeroko rozwartemi ustami.

— Proszę wyjść już! — rzekł Maksym Duret, wskazując im na drzwi.

Ukłonili się niezgrabnie i wyszli jeden za drugim.

Maksym Duret, nadstawiając uszu, słuchał, jak wracali do swego pokoju.

— Nic nie zrobią — mruknął do siebie z niechęcią. — Zostali przerażeni naprzód mojem czuwaniem, następnie propozycyą morderstwa... I teraz niezdolni są do niczego...

Zastanowił się na chwilę i dalej monologował:

— A gdybym dla zachęty ofiarował im jaką poważniejszą sumę?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Największa nawet suma nie pobudziłaby ich teraz do działania... A zresztą i takby się cofnęli przed pięciokrotnem morderstwem... Nie licząc już tego, że jest ono prawie niemożliwe...

Nędznik zaprzestał wreszcie tej rozmowy z sobą. Zawiedziony i zmęczony patrzał tylko na zegar, stojący między dwoma wazonami na kominku, oczekując chwili, kiedy wreszcie będzie mógł wyjść z hotelu. Koło jednego z wazonów stała buteleczka gumy arabskiej z pędzelkiem. Prezes spostrzegł ją już poprzednio, lecz nie zwracał na nią uwagi.

Nagle jawiła mu się jakaś myśl. Oczy jego spoczęły jeszcze raz na buteleczce, która poddała mu pewien projekt.

Wstał, wziął buteleczkę i zdjął z niej metalową kapslę. Przez chwilę przyglądał się ze zmarszczonem czołem temu żółtawemu, gęstemu płynowi.

— W każdym razie mogę spróbować — szepnął.

Wyjął truciznę, jaką miał z sobą, z kieszeni, odkorkował ją i przelał do buteleczki z gumą. Potem pędzelkiem pomieszał oba płyny, które stały się teraz jakiegoś nieokreślonego koloru.

Podszedł pocichu do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz, wzdłuż którego przy drzwiach stały poustawiane trzewiki podróżnych.

— To są trzewiki chloroformistów — szepnął do siebie.

Te zostawił, a zabrał inne i wrócił z niemi do pokoju. Było ich pięć par.

Nędznik ustawił je na stole i zaczął pędzelkiem smarować ich wnętrza płynem, który poprzednio przygotował.

Zajęty tą pracą, nie przestawał mówić sam z sobą.

— Słyszałem, że żółte obuwie, farbowane szkodliwemi farbami, zatruło osoby, które je nosiły... Dyabeł musiałby się w to wmięszać, jeżeli moja mikstura pozostałaby bez skutku... Za dziesięć minut guma wyschnie... Gdy będą kładli trzewiki, nic nie spostrzegą... Od transpiracyi nogi płyn się rozpuści i będzie przenikał wolno przez skórę do krwi... By się to jednak udało, muszą oni dużo chodzić... Będą szli! Już ja się o to postaram.

W dziesięć minut potem pięć par obuwia stało na swem miejscu.

Maksym Duret zasiadł znowu w fotelu. Zapadł zaraz w pół sen, otwierając co chwila oczy, by spojrzeć na zegar.

Przed piątą godziną zadzwonił.

Ukazał się wkrótce zaspany chłopiec z potarganymi włosami.

— Proszę przynieść mi kawę i rachunek — rozkazał prezes.

— Czy pan już odjeżdża?

— Tak... Pierwszym pociągiem chcę wrócić do Saint Jean de Luz...

— Odchodzi o piątej trzydzieści pięć...

— Proszę się pośpieszyć!

— Czy pojedzie pan na dworzec omnibusem?

— Nie... Pójdę pieszo...

W chwilę potem Maksym Duret wypił kawę i zapłacił rachunek.

Nie było jeszcze szóstej godziny, niebo na wschodzie nawet było jeszcze czarne, gdy oddalał się z Hendaye, idąc szybkim krokiem w stronę Trzech Koron, których ciemne masy zamykały horyzont, postrzępiony szczytami gór.

XVI.

W hotelu w pokojach innych gości zaczęto się dopiero poruszać. Panajon wstał ostatni. Nie mógł się ocknąć z głębokiego snu. Gdy wreszcie wstał, czuł się jeszcze rozbity, lecz był już wypoczęty. Humor mu dopisywał i ubierając się szybko, naśladował nosem głos rogu myśliwskiego, nucąc melodyę: „Naprzód strzelcy, czas już w drogę".

O kwadrans na siódmą Panajon, piękna praczka, Lewis Jackson, Piotr i Joe Smith, siedzie-

przy śniadaniu w jadalnej sali, oświetlonej jeszcze elektrycznością. Na dworze już świtało, było jednak jeszcze ciemno. Po krótkiej dyskusyi postanowiono, iż złodziej i Piotr Cartelegue udadzą się samochodem na miejsce, gdzie Maksym Duret wysiadł z Expressu. Odszukają jego ślad i puszczą się za nim w pogoń.

— Wyszukajcie po drodze jakiego wieśniaka z rowerem — mówił miliarder — i przyślijcie go do nas, byśmy wiedzieli, gdzie was szukać.

Joe Smith zachowywał się milcząco. Ciągle był jeszcze zawstydzony, chociaż pocieszał go fakt, iż prezes zdołał także wywieść w pole Panajona i króla stu dwudziestu koni.

— Proszę panów — odezwał się niespodzianie — i ja także chcę jechać samochodem... Ponieważ chodzi o odnalezienie śladów, mogę być pomocny jako dawny cow boy...

— Istotnie! — potwierdził Lewis Jackson.

— Dobrą część swej młodości spędziłem na koniu, odszukując śladów zabłąkanego bydła — dodał sekretarz.

— Na prawdę? — rzekł Panajon bardzo tem zainteresowany. — Pan był cow boyem?...

— Już się dzień robi — zwrócił uwagę Piotr. — Chodźmy...

Wszyscy udali się do garażu hotelowego. Służący jak mogli, oczyścili wyścigową maszynę. Piotr siadł przy kierownicy. Panajon zapraszał grzecznie ruchem ręki Joego Smitha, by zajął jedyne wolne miejsce przy szoferze.

— Dziękuję — rzekł sekretarz suchym tonem, kiwając przecząco głową.

— Proszę bardzo! — nalegał złodziej.

— A pan gdzie siądzie?

— Przykucnę jak królik przy pańskich nogach.

— Ja również mogę to samo zrobić...

— Nie! Pan wypadnie! Nie jest pan przyzwyczajony.

Panajon uważał się teraz za doświadczonego samochodzistę, specyalistę od wyścigowych kursów.

— *Well!* Pana... Chciałem powiedzieć pan John Harris ma racyę — rzekł miliarder. — *Hallo!* Smith, niech pan siada przy Piotrze!

Sekretarz zagryzł wargi, lecz spełnił rozkaz.

Ewa podziwiała Panajona, który przykucnął z boku i wziął do ręki gruszkę sygnałową, by zatrąbić.

— A uważaj na siebie! — zalecała mu.

— Nie bój się!

— Jakże mogę nie bać się o ciebie!

— Moje dziecko, z taką maszyną jak Cartelegue'owska, z takim szoferem jak obecny i z takim mechanikiem jak ja, moglibyśmy stanąć od razu do wyścigu z Nowego Jorku do Paryża.

I złodziej zatrąbił na pożegnanie, a samochód zaraz ruszył. Panajon podniósł się jeszcze i, trzymając się jedną tylko ręką, by okazać swoją zręczność, posyłał pocałunki Ewie, która powiewała chustką.

Joe Smith zagryzał sobie w dalszym ciągu wargi, patrząc przed siebie złemi oczyma. Szeptał sobie w duszy życzenia, by złodziej jak najprędzej znalazł się na gilotynie.

W przeciągu jednej minuty byli na dworcu. Panajon wysiadł i poszedł wybadać urzędników kolejowych. Wkrótce powrócił z potrzebnemi wiadomościami.

— Zaraz za przystankiem Urrugue, na którym zatrzymują się tylko osobowe pociągi, zniknął nasz przyjaciel — oznajmił swym towarzyszom.

Do miejsca tego było siedm kilometrów. Przebyli je w niecałe pięć minut. Panajon, Joe Smith i Piotr wysiedli i ruszyli wzdłuż toru.

— Ach! — zawołał nagle złodziej. — Tam widać jakieś dziwne ślady.

— Są one świeże! — dodał cow-boy, idąc we wskazanym kierunku.

Wszyscy trzej nachylili się nad śladami nóg, które widniały z boku toru. Słońce wstawało. Było ono jeszcze ukryte za górami, lecz niebo przybierało coraz jaśniejszy odblask, pozwalający dobrze wszystko widzieć.

— Ktoś tu przeskoczył przez rów! — rzekł znów złodziej.

— Amerykanin zrobił jeden szeroki krok na swych długich nogach i znalazł się po drugiej stronie rowu. Przykucnął zaraz na ziemi i oglądał odciski stóp, zostawione na wilgotnej trawie. Potem podniósł się, wszedł na pobliską drogę i badał w dalszym ciągu zupełnie już wyraźne ślady, wyciśnięte na gliniastej ziemi.

— Ślady te są bardzo podobne do odcisków nóg na szkarpie kolejowej... musiał je zostawić człowiek w eleganckiem obuwiu, jakiego mieszkańcy tych stron nie noszą... Są one przytem zupełnie świeże... To był Duret!

— Bez wątpienia! — zawołali jednocześnie Piotr i Panajon.

— *All right!* Jedźmy więc za nimi... Nie jest to wcale trudne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Rząd środkowy pionowy odpowiednio odgadniętych wyrazów, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko słynnego dramaturga, rząd poziomy, tytuł jego utworu.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Jenerał polski z r. 1831. 3. Zdrobniałe imię męskie. 4. Inaczej rymy 5. Rodzaj ziemniaków. 6. Szukany wyraz. 7. Powieść Daudeta. 8. Miasto w Portugalii 9. Inaczej widny. 10. Rzeka w Niemczech. 11. Spółgłoska.

Krzyż magiczny.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e
e e e
e i i
j j j j j k k n n
n n s s s s s s s
s t t u u u w w w
w y y
z z z
z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Wulkan we Włoszech. 2. Osada w powiecie Kaliskim. 3. Miasto w Syberyi Wschodniej.

Szarada.

Ułożyła Premecka, Przemyśl.

Pierwsza i druga miejsca dla zabawy
Szaradę odgadniesz zaraz bez obawy,
Gdy dwie ostatnie cyfry alfabetu
Odwrotnie dodasz do nich dla kompletu.
Całość, to nazwa znanego świętego
Reformatora życia zakonnego.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Rząd pierwszy pionowy i poziomy odgadniętych odpowiednio wyrazów poda pseudonim znanej polskiej powieściopisarki.

□ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Inaczej uczniowie, ubiegający się o coś. 3. Bogini rzymska. 4. Miasto portowe w Rosyi. 5. Rzeka w Anglii 6. Góra w Azyi.

Łamigłówka.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy znane polskie przysłowie.

— oś
st —
— az
mu —
— ko
ró —
— ra
ze —
— sa
bó —
— ka
gn —
— le
ry —

Zadanie konikowe.

Ułożył S. Lipiński, Każmierz n. Wisłą.

co	cza	zdra	po	sal	ną	bo	ta
to	nie	nie	row	da	rel	ta	woń
gdy	się	bo	la	wia	roz	sal	to
ża	szep	dziom	Bo	nie	rel	la	ró
lu	że	ró	da	dzie	żę	zdra	la
cho	mó	waj	wep	że	po	tem	nic
cho	bo	mo	mi	ne	da	w wło	tem
wić	w u	go	cóż	sy	coś	zdroż	po

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

By, nie, ikra, bary, burza.

Rozsypane litery.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Z podanych liter zestawić znane przysłowie:

a, a, a, a, a, a, b, i, k, n, n, o, o, ó, r, r, s, ś, t, t, t, u, w, ż

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *F. Bernatowicza:* **Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w XIV. wieku.** Romans historyczny w dwu tomach.

ten, ...
Po omac.

Restauracya Hotelu pod Różą w Krakowie Floryańska L. 14

pozostaje obecnie pod kierownictwem rutynowanego fachowca **Władysława Bogackiego** zarządcy Hotelu pod Różą

i poleca znakomitą kuchnię domową, doborowe napoje, piwo okocimskie, pilzneńskie i żywieckie. Wchód do bufetu od ul. św. Tomasza. — Ceny umiarkowane. Przyjmuje zamówienia na zebrania towarzyskie i wesela. **Wędliny własnego wyrobu.**

DENTYSTA Dr. J. SYROP

Kraków, Plac W. W. Świętych L. 10 (naprzeciw Magistratu)

Leczy i prostuje zęby krzywo rosnące i szczęki nieprawidłowe.

Leczenie zębów chorych elektrolizą. Lecznica dla mniej zamożnych.

Rok założenia 1900 PIERWSZORZĘDNY Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku

Filia: **Lwów, pl. Halicki 7** (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Dokładna robota jest to dobry patent!



KNAPIŃSKI

Zakład własny **wyrobów ortopedycznych**

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Kraków, Mikołajska 7. Telef. 505.

Ciągnienie już 22 czerwca 1911 r.

Losy loteryi państwowej

Główna wygrana **200.000 koron**

21.135 wygr., 620.000 Kor. w gotówce. Cena losu **4 kor.**, 2 losy $7^1/_2$ kor., 5 losów tylko 18 kor. = 7 rubli 10 kop.

Ciągienie już 1-go lipca b. r.

Losy komunalne m. Wiednia z r. 1874.

Główna wygrana **300.000 koron**

Na spłaty miesięczne po 20 Kor. = 8 rubli.

Ciągnienie już 1-go lipca b. r.

Losy kredytowe z r. 1858

Główna wygrana **300.000 koron**

Na spłaty miesięczne po Kor. 10 = 8 rubli.

Prawo gry po złożeniu 1-szej raty.

poleca

Kantor wymiany „Merkury" Braci Eibenschütz

Kraków, Rynek gł. l. 5, róg ul. Siennej.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

Galic. Auto Garage

W. Ustyanowicz i Sp.

Kraków, ul. Smoleńska L. 31.

Telefonu Nr. 0107.

Adres telegr.: Ustyanowicz Smoleńska 31.

Naprawa automobili, motorów benzynowych, rekonstrukcye i odnawianie wozów.

Sprzedaż automobili nowych i używanych.

Garażowanie wozów, benzyna, oliwa, smary.

Warsztat największy w Galicyi

zaopatrzony wszystkiemi najnowszemi i precyzyjnemi maszynami. Personal techniczny pierwszej jakości.

Lalki skórzane z blaszanemi głowami są najpraktyczniejsze dla małych dzieci.



Pierwsza krak. fabryka lalek Kraków, Wolska L. 1 wysyła odwrotnie każde zamówienie.

Wielkość:	30	32	35	37	39	43	47	52	55	i. t. d.
Cena Kor.:	2·80	3·20	3·60	4·—	4·70	5·70	6·40	7·80	9·—	i t. d. wraz z opakowaniem



Sanatoryum dla chorych-piersiowych w Zakopanem pod kierunkiem dra **K. Dłuskiego.**

Maj 1911 r. Najnowsze zdjęcia **na płytach Pathé** 29 cm. (do szafiru) po K 4·50

Orkiestra:

26670 Mazur z Halki / Polonez „
26677 Dawne czasy, mazur / Mokołowski, „
26709 Cała Warszawa, kadryl 1—2 / „ „ „ 3—4 / „ „ „ 5—6 / Polonez Ogińskiego
26675 Miodowy miesiąc, walc / Pierwszy całus, walc
26695 Pogotowie, polka / Władka, polka
26691 Pieszczotka, polka / Trzpiotka, „
26679 Złota Elżunia, polka / Lola, polka

Smyczkowa ork.:

26794 Księżniczka dolarów, walc / Française, polka
3965 Złoto i srebro, walc / Czar walca, walc

Harmonia solo:

26866 Koporski, walc / Oczekiwanie, walc

Kuplety: Domosławski:

26827 Oj, Jenta / Śmiech
26775 Polka w szafliku / Żydowski mazur

Jarkowska:

26791 Młynarczyk / Żołądź

Monologi:

26765 Na Ujazdowie / Przy telefonie
26769 Na srebrnej sali / Przy kasie teatr.

Kraków, ul. Szewska 10|2

S. Grudziński i T. Berger

Katalogi aparatów i płyt darmo i opłatnie.

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

Książki na nagrody.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes".

Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem poleconym 3 kor. 46 h do nabycia:

W Krakowie: w drogueryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha,
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego

Magazyn Krawiecki M. Czaji i W. Rechowicza

KRAKÓW Mikołajska L. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

ZAKOPANE przeszła na własność

Pension „Liliana" W. Drzewieckiej

POLECA pokoje z całem utrzymaniem od 7 kor. wśród lasów świerkowych z pięknymi widokami na góry i całą dolinę zakopiańską. Położenie suche i słoneczne.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego